Nr. 48 (1196). Warszawa, 15 (28) Listopada 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Stany Zjednoczone południa. — Sejm pruski, p. Ziemomysła. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Kawałek Japonii, wyjątek z dziennika (c. d.), p. Wacława Sieroszewskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Szkoła sztuk pięknych w Warszawie, p. Kropkę. — Listy z Francyi, p. dr. Józefa Zielińskiego. — FEJLETON: Liberum veto, p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Zdolność rozwoju ludów pierwotnych (dokończenie), p. dr. Fryderyka Hertza. — LITERATURA I SZTUKA: Przegląd teatralny, p. Wł. Bukowińskiego. — Nowe książki (Pamiętniki). — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Stany Zjednoczone południa.

Wielka rzeczpospolita amerykańska faktycznie już wkroczyła na terytoryum Ameryki południowej. Rewolucya zrobiona w Panamie, uznanie nowego państwa Przesmyku, układ zawarty już z jego pełnomocnikami o terytoryum dla kanału i o sam kanał, przygotowane już do wypłaty dolary, wywieszenie chorągwi nowej potencyi międzynarodowej w Washingtonie i New-Yorku i radość z tego powodu, rumieniąca Blade Oblicza, jak Indyanie nazywali niegdyś protoplastów dzisiejszego narodu amerykańskiego, nadewszystko zaś szeroko rozwarta paszcza wiecznie pożądającego milionów smoka ekonomicznego — przynoszą niezbitą pewność, że kapitał amerykański postawi ciężką swą stopę na krańcu Ameryki środkowej, na gruncie przez genezę państwową, współżycie społeczne i rozwój cywilizacyjny, już południowo-amerykańskim, a za chciwością kapitalistyczną pójdzie i chciwość polityczna, żądza zaborów.

Umowa zawarta już pomiędzy obu rządami, tym, który rewolucyę zrobił, i tym, który z rewolucyi wyszedł, zapewnia Stanom Zjednoczonym ustąpienie całego terytoryum kanałowego z pasami po obu stronach, sięgającymi gdzieniegdzie nawet do 20 mil ang., z zupełnem prawem użytkowania i zwierzchnictwa niezbędnego dla samej budowy kanału, a następnie użytkowania z niego. W zamian nowa rzeczpospolita otrzymuje 10 mil. dolarów, które jakoby przeznacza na spłacenie części długów kolumbijskich *pro rata* na nią, na dawny stan Istmu, przypadających. Zatwierdzenie umowy przez senat waszyngtoński nie ulega wątpliwości: spekulacya zatem amerykańska, nababy niewiedzące co robić z pieniędzmi, idealiści z dziesiątków milionów dorabiający się setek i awanturnicy rzucający się w odmęt chciwości nawet bez dolara, ale z silną wolą zrobienia koniecznie majątku — wszyscy mają wrota otwarte. A jest co za wrotami zbierać. Dawny budżet kanału za Lessepsa zamykał się sumą 675 milionów franków, wraz z koleją panamską, która koniecznie w jednych rękach być musi, 750 mil. Część robót wprawdzie zrobiona, ale źle, inną czas zniszczył lub srodze uszkodził; nowi ludzie i nowy postęp wydadzą też plan nowy i budżet nowy, od poprzedniego sutszy, a przytem i ceny wzrosły. Czego potrzebował Lesseps przed laty 20, tego też zażąda dziś i yankee, jak gdyby nic jeszcze zrobionem nie było.

Ileż to zarobić będzie można na samych tylko tych dwudziestu tysiącach robotników, których praca dla całkowitego wyprowadzenia kanału jest jeszcze potrzebna; i jaka gratka dla republikanów północnych, szanujących prawa człowieka— przez wyzyskiwanie całych tłumów ludzkich; jaka sposobność dla republikanów istmijskich do zbogacenia się, choćby mieli odegrać tylko rolę szynkarzy w przyszłem, wszechświatowem przedsiebiorstwie! To wszystko wesprze żądzę polityczną, która na początek się utai, aby potem, gdy już kanał będzie, tem naglej panowanie sobie zapewnić. Uznanie noworodka przesmykowego przez Francyę jest właściwie uznaniem Stanów Zjednoczonych na gruncie Panamy. Z tego stanowiska patrzeć muszą rozważni politycy w Europie — patrzeć musi przedewszystkiem Anglia, a potem Niemcy. Takie też stanowisko zająć powinni mężowie stanu państw południowo-amerykańskich, jeżeli te państwa mają rzeczywistych mężów stanu. Dotychczas w jednej tylko Kolumbii drgnęła świadomość niebezpieczeństwa, ale Kolumbia nie potrzebuje rozumu stanu, bo ma doznaną krzywdę. Odwołanie się do innych rzeczypospolitych, pobudzenie ich, jeśli nie do pomocy, to do nowych w dalszym ciągu usiłowań, jeśli tak powiedzieć wolno, amfiktyońskich — pozostało na razie bez echa. Na razie — w tem cała nadzieja.

Za broń nie porwą ani wszystkie razem, ani też najbliższe, do pomocy przedewszystkiem powołane. Nie porwie też i Kolumbia ani sama, ani z innemi. Stosunek sił wojskowych i społecznych jest taki, że walki z widokami zwycięstwa, z odwagą normalną, bohaterską, nie męczeńską, podjąć niepodobna. Dopiero pracą lat długich, zwarciem ramion i dusz, zespoleniem się politycznem, tak ułatwionem przez jedność narodową, możnaby wyrobić siłę, której dziś niema, którą dziś same olbrzymie a puste przestwory pochłaniają. Czy Stany Zjednoczone północne zostawią południowym na urodziny, najdroższy w dziejach, czas? Prawdopodobnie rozlegnie się nad niemi z kręgów przeznaczenia najstraszniejsze ze słów ludzkich „zapóźno." Zmarnowane trzy ćwierci wieku na walki jednych całostek państwowych z drugiemi odzyskać się nie dadzą. A szkoda, bo i jasnowidzenia i proroczego rozpędu na przyszłość nie brakło. Już wielki twórca wyzwolenia Bolivar rozpalał ideał takiego związku, w którymby nowo powstające państwa do sporów między sobą miały wspólny sejm-trybunał i wspólną siłę egzekucyjną, nie pobierały żadnych ceł od swych produktów i wyrobów, używały wspólnej monety i wspólnej też chorągwi. Gdyby ideał my-

śli stał się był wówczas już celem życia, ileżby już do dnia dzisiejszego narosło potęgi w tych organizmach i jak łatwo byłoby Meksyk wciągnąć w wir swego instynktu, w swoje Stany Zjednoczone południowe! Ma Unia doktrynę Monroego przeciwko Europie: miałaby Ameryka południowa doktrynę Bolivara przeciwko Unii. Dziś prócz starych nałogów staje zaporą czas — rozwój Północy w tym czasie. Ruch jednak dośrodkowy i dziś jeszcze będzie dobrym, wzmocni i podniesie i może nawet okaże się na chwilę niebezpieczeństwa pomocnym.

Sejm pruski.

Berlin, 23 listopada.

Monotonii życia politycznego w Prusach nie naruszają wcale powtarzające się co lat pięć wybory do reprezentacyi sejmowej. Po części przyzwyczajono się do bezmyślnego i ospałego wykonywania owych pruskich prerogatyw wyborczych, będących właściwie wydziedziczeniem ludności z praw politycznych; uznano niemal ów stan „tymczasowy," jak go określili cyniczni prawodawcy 49 go roku, owo „najnikczemniejsze z praw wyborczych" — jak je nazwał najmędrszy i najbardziej stanowczy jego wykonawca, ks. Bismarck.

Od czasu, jak pod osłoną bagnetów „sentymentalny król" wypędził z Berlina oparte na powszechnych prawach wyborczych „Zgromadzenie narodowe," a później podstępną i zdradliwą wojną ukorzył rewolucyę poznańską, żaden poważniejszy opór nie wstrząsnął nienaruszonemi posadami reakcyi. Tryumfowała ona zaraz po owym „wielkim roku" i konstytucya sejmowa do dziś dnia trwająca, wówczas ohydną karykaturą rewolucyjnej i demonstracyjnej myśli zdająca się, była pierwszym tryumfu tego znakiem.

Zostawiono wtedy prawo wyborcze dla wszystkich obywateli, ale podzielonych na trzy klasy według stopnia majętności: najliczniejszym w narodzie, biednym, wydzielono trzecią część praw, zamykając im w ten sposób z góry, po czasy trwania samego prawa, wszelki wpływ na rządy. Przeprowadzono jawność głosowania; zaś z praw 1848 r. pozostawiono przepis podwójnych, czyli pośrednich wyborów.

Machina tak utworzona działała odtąd z właściwą Prusom biurokratyczną, spokojną i ociężałą stałością. Psuła się czasem, ale — działała. Gdy za podstawę do tego prawa, które, jako podporę bytu państwowego, chciano uczynić niezmiennem, omal że nie wiecznem, wzięto najbardziej zmienne ze społeczno-państwowych urządzeń, mianowicie normy podatkowe, uczyniono z biegiem czasu przepisy wyborcze fikcyą, a samo prawo, stworzone, aby służyć bogatym — wyłącznem narzędziem możnych wogóle, przedewszystkiem zaś rządu i jego samowoli administracyjnej. W owem prawie jedno nie przestało być rzeczywistem, wykonywanem w całości: to oddzielenie szerokiej masy ludowej i danie jej tylko tej części praw, jaka była potrzebna do wyrobienia samowiedzy beznadziejnej bezsilności politycznej.

Orędziem możnych wogóle, lecz, przez obmyślany podział okręgów, przedewszystkiem orędziem możnych na wsi był i jest ten sejm. Zwykli to na ziemi wschodniej landlordzi, w których miejsce samowiedzy politycznej zajmuje nienawistna duma półpańska, cyniczna buta zdobywców, nieśli kulturę ludom, depcząc gwoli możności wyzysku i panowania tych, co się zdobywcom poddawali i upodobniali.

Obok nich powstała klasa miejska, ani dumą, ani siłą pięści niedorównywająca panom ze wsi. Najwcześniej ona to poznała, że siła ducha niczem jest tam, kędy pięść rozstrzyga: więc od początku nosiła znamię poddaństwa, kurczyła się, by jej nie dosięgła siła gniotąca. Polityczne świadectwo o sobie dała na sejmie frankfurckim i w one dni, kiedy tak elastycznie umiała się ugiąć i spłaszczyć po wielkich, tchnieniem politycznego ideału owianych, chwilach 48-go roku. Jej to, przemysłowo i pieniężnie potężnej, użył żelazny kanclerz dla wzmocnienia konserwatywnych podstaw bytu Prus. Otworzywszy rynki zbytu, pobudowawszy drogi komunikacyi, zapewniwszy dogodne swobody handlowe, stworzył ów rządzący „kartel," w którym nowi liberali przysposabiali grunt pod dalszy rozwój starej rutyny społecznej i porządku monarchicznego: „gdyż w Prusach — jak mówił Fryderyk Wilhelm IV — potrzeba, aby król rządził; i ja rządzę, gdyż taki jest rozkaz Boga."

Podwójne to więc dzieło sejmu pruskiego jednakim wieńczone celem: utrzymać Prusy takiem państwem, jakiem je Elektorowie na zdobytych od Słowian ziemiach i Wielki Fryderyk zbudowali — wojskowo wyćwiczonem i karnem, jak Rzym starożytny łupem bojów i intryg karmionem, pańskiem, ludowi wrogiem; utrzymać Prusy podzielone na klasy społeczne, poddane klasie, tworzącej państwo: tego drugiego dzieła dokonał Bismarck, demoralizując mieszczaństwo niemieckie. Żadnego samouctwa politycznego mieszczaństwo to nie miało, prócz nauki nędzy i niemocy, oraz tego poczucia zależności od obcych sił — sił obcego kraju, ale wrogich potęg w kraju własnym — uczucia, które zwyczajnym czyni rumieniec wstydu i pokory.

Stąd powstał ten sejm, oddany, gdy trzeba, zagrożonej własności na wschodzie, rozdarty, gdy trzeba, religijną zawiścią, niemy i poprostu bezradny wobec swobodnej, niczem po dziś dzień niekrępowanej inicyatywy rządu, tak w polityce zewnętrznej, jak w policyjnej na wewnątrz samowoli.

Takiem prawo wyborcze i taką reprezentacya jego. Nie zmieniła się ona od owej pierwszej chwili, w której na 433 posłów wybrano 200 urzędników — zmienić się też dzisiaj nie może. Jeżeli pewien rozwój zauważyć się daje — jest to rozwój krańcowej, feudalnej reakcyi junkrów i protestanckiej magnateryi. Dziś— po dokonanych świeżo wyborach — sześciu głosów brakuje dwom konserwatywnym stronnictwom i złączonym z niemi antisemitom do absolutnej większości: zwycięstwo w każdej chwili przeważą w ich stronę agrarni centrowcy, lub przed socyalizmem ku reakcyi agrarnej wciąż cofający się liberali „narodowi." Więcej niż kiedykolwiek silna to ostoja dla państwa i punkt oporu dla monarchy. Prasa liberalna i mieszczańska podała całe stosy artykułów, wyrzuciła cały stek frazesów bez myśli o „lewicy niezależnej i silnej," o „reformie wyborczej," o zwalczeniu reakcyi klerykalnej i konserwatywnej... To przynęta dla wyborców owych mizernych trzydziestu paru okręgów wolnomyślnych, z których trzecią część zdobywa się za pomocą zjednoczenia wszystkich sił „prawdziwie niemieckich" przeciw niebezpieczeństwu polskiemu. Głosy o reformie milkną — one już się tak sprzykrzyły, znudziły. Zło zwyczajem się stało, w krew przeszło. Głos szczerego protestu, czyn śmiałego, publicznego oporu — to rzecz, na którą Prusom mieszczańskim brak miejsca i krwi dość gorącej.

Od początku próbą, skazaną na niepowodzenie, na poznanie głębokiej niemocy wobec panujących warunków, był udział potężnego stronnictwa społecznych demokratów

---

3)

Wacław Sieroszewski.

Kawałek Japonii

(Wyjątek z dziennika).

23 września.

Po nieprzespanej nocy pocieszył mię śliczny poranek. Minęliśmy wielkie miasta Kioto, Osaka. W Kobe zmiana pociągów. Dostałem się do pięknego, widnego wagonu, lecz też zapełnionego podróżnymi. Do tego wagonu weszła także bardzo ładna i młoda Angielka z chorym ojcem. Zajęła niewygodne miejsce, ale nie chciała go zamienić na proponowane przeze mnie. Widziałem pewne zdziwienie na twarzach Japończyków, którzy zrozumieli treść naszej rozmowy. Zwłaszcza dziwił się mój sąsiad, kupiec jedwabiu z Osaka, który zdążył się już był ze mną zapoznać i „wprawiał" się w te kilka angielskich wyrazów, które umiał. Wyglądało to dosyć zabawnie, gdyż najczęściej powtarzał pytanie: „do you speak english?" ponieważ wymawiał je najlepiej. Pytał mię, co ja chciałem od tej młodej kobiety i czy ją znam. Zauważyłem, że Japończycy o wiele są uprzejmiejsi względem mężczyzn, niż kobiet. Damy japońskie zwykle idą w tyle o jakie pół kroku i więcej za swymi mężami; przy spotkaniu zawsze z drogi ustępuje kobieta. W teatrze one zajmują gorsze miejsca i nigdy nie biorą udziału w żadnych ucztach i przyjęciach z mężczyznami. Nawet w domu jedzą osobno i to dopiero, jak nakarmią i napoją „koronę stworzenia." A przecież są o wiele milsze, subtelniejsze, rozumniejsze od tej „korony." Nawet pewien zażarty nieprzyjaciel Japończyków mówił, że ludzkość niby nie straciła, gdyby nagle zniknęli wszyscy Japończycy, lecz straciłaby bezwarunkowo, gdyby wraz z nimi zniknęły Japonki. Nie są one ładne, lecz mają dużo wdzięku, są łagodne, spokojne i wyrozumiałe. Do zamążpójścia korzystają z wszelkich swobód, chodzą, gdzie chcą, nawet romansują, co bynajmniej nie jest uważane za przestępstwo.

— Moja żona miała dwunastu kochanków, ale dzieci miała dopiero ze mną! — mówił zupełnie spokojnie pewien przyzwoity Japończyk w rozmowie o przyczynach płodności lub bezpłodności małżeństw. Po ślubie wszystko się zmienia; Japonki są bardzo wiernemi żonami. W domu rządzą wszystkiem mimo pozorną uległość, okazywaną mężowi. Majątkowo i prawnie nie są od niego bardzo zależne. Mają swoją własność i nie są wobec męża tak bezbronne, jak Francuzka lub Polka. Ale i tu czuć Wschód pod ludzkiem poszyciem: za niewierność mąż ma prawo żonę wygnać natychmiast, nawet wsadzić ją do więzienia; kobieta nie ma prawa żądać rozwodu nawet w razie jawnej niewierności męża. Wogóle u Japończyków nie istnieje pojęcie o niewierności mężczyzn, którzy otwarcie nieraz trzymają nałożnice w domu. Wymieniono mi znanego kupca w Hakodate, który w każdem nieledwie mieście, gdzie bywa, ma dom a w nim żonę... W Hakodate zaś, gdzie mieszka stale, ma ich kilka.

— Zazdrosna żona jest gorsza, niż brak żony — powiedział mi wesoło japoński miłośnik kobiet.

Tak się to już ułożyło, że Japonki patrzą przez szpary na stosunki mężów z gejszami, na ich wycieczki do... Josziwara wszel-

niemieckich w obecnych wyborach. Pchnęła ich ku temu naturalna, acz niezawsze wskazana w politycznem działaniu pewność, że wszystko można *zreformować*, największe nawet zło na mniejsze zamienić. W nowej agitacyi wyborczej znajdowali też sposobność wypowiedzenia tęgich słów protestu i oporu; bezradność powszechna, wobec zagadnienia sejmu pruskiego, dała im złudzenie ogromnego znaczenia wynalezionej rzekomo przez nich rady.

Rady wszakże nie było, być nie mogło. Podstawą agitacyi ludowej mogła być zawsze jedynie trzecia klasa wyborców: wyjątki z klas innych okupują się zawsze wyjątkami z pośród mas ludowych. Więc z góry było wiadomo, iż nigdzie nie będzie samodzielnego wyboru posła. Pozostawało pośrednictwo, kompromis: dla kompromisu nigdy jeszcze nie było gruntu mniej podatnego. Po raz drugi w tym roku stanęły przeciwko sobie w walce, ogarniającej masy najszersze, namiętnej, stronnictwo społeczne i wolnomyślni. Pierwsi musieli odsłaniać cały fałsz bezradnej opozycyi mieszczańskiej, dziś już w parlamencie dla reakcyi usłużnej, duszą oddanej sekciarstwu i hakatyzmowi Prus. Gdy przyszło do rezultatów, okazało się, że stronnictwo społeczne, prócz jednego okręgu w Berlinie, nie zdobyło nigdzie trzeciej części głosów wśród wybranych wyborców poselskich. W paru okręgach *) społeczni demokraci decydowali w walce pomiędzy konserwatystami a wolnomyślnymi; od tych ostatnich wzamian za poparcie zażądali oddania dwóch miejsc poselskich z pomiędzy pięciu zakwestyonowanych. Te warunki zostały odrzucone i wybrano—konserwatystów, przy ogólnem wstrzymaniu się od głosu wyborców demokracyi społ. Oburzeni, zmęczeni długością i utrudzeniami aktu wyborczego, społeczni demokraci w kilku okręgach berlińskich zamanifestowali swe niezadowolenie i na małą skalę wywołali rozruchy w lokalach wyborczych. Prasa mieszczańska, a nawet i niezależna ostro ich potępiła. *Vorwärts* nieśmiało i wstydliwie bronił. Owa mizerna próba odpowiedzi gwałtem na gwałt, użycie *voie de fait* przedstawiono, jako najlepszy środek do odroczenia reformy wyborczej, bo wykazujący „niewykształcenie polityczne mas.“ W lot pochwycono to spostrzeżenie i cała prasa najemna, kupiona i policyjna przyklasnęła prawdzie i światłości zbawczego mieszczaństwa. Zbawca od społecznego demokratyzmu, twórca nowych, licznych posłów konserwatywnych, wolnomyślny leader, Eugeniusz Richter, wyrasta na męża stanu nowych Prus. Sprawdza się idea Bismarcka: mieszczaństwo staje się podporą junkierskich i militarnych Prus, dogodną bronią w walce z przewrotem i uczciwym w interesach pośrednikiem.

*) 1. Charlottenburg – Teltow – Beskow (przedmieścia Berlina; 2. Wrocław (okrąg miejski).

Tak ku ostatecznej demoralizacyi stacza się wolnomyślne mieszczaństwo, ku wyżynom nienaruszonej, niezagrożonej potęgi wznosi się inicyatywa i wykonanie rządu. Wszystkie jego propozycye znajdą teraz więcej, niż kiedykolwiek, posłuchu w sejmie. Może budową kanałów wesprze się jeszcze kapitał mieszczański. Ale przedewszystkiem tłumić się będzie bezkarnie i bez kontroli „rewolucyę“ niezadawnioną na wschodzie: i może wróci nareszcie upragnione prawo o zgromadzeniach, oddające te ostatnie zupełnej samowoli policyi i administracyi.

Taki nienaruszalny, niezdobyty porządek rzeczy przedstawia instytucya sejmu pruskiego; jej i samych Prus podwaliną jest głęboka krzywda społeczna i narodowa, niezgładzona przez żadne reformy. Póki Prusy są mocne swą zaborczą polityką i szowinistycznem, militarnem panowaniem nad odrodzonemi Niemcami, póty i gwałt tego panowanie jest bezkarny. Zbyt wyłącznie stronnictwa, pragnące zmiany, kładą nacisk na ów ogólny fakt przewagi pruskiej; zbyt mało nacisku—na jego przyczyny. Sam bowiem fakt panowania pruskiego na obcym Niemcom Wschodzie jest źródłem dziejowej i współczesnej, mocarstwowej potęgi Prus: tego źródła nie wyczerpawszy, nie można się dziwić zniszczeniu, czynionemu przez siły złe i okrutne ze źródła onego płynące.

„Raus mit Preussen, raus *von* Preussen“ (precz z Prusami, precz z Prus) — hasło to, rzucone przez demokracyę przy obecnych wyborach, jest może główną i najważniejszą pozostałością z jej udziału w walce wyborczej. Winno się rozszerzyć, rozwinąć i zyskać właściwe znaczenie. Trzeba, żeby je zrozumieli i Polacy. Posiadają oni w sejmie 13 krzeseł. Stanowią z górą 11% ludności Prus, a mają 3% reprezentacyi. Jest to stan politycznego wydziedziczenia. Ani jednej korzyści nie ma społeczeństwo z tego udziału swych przedstawicieli w sejmie.

Jednak wydziedziczeni posiadają jedno znaczne prawo — prawo do abstynencyi: wrócić i pracować na własnym gruncie, walczyć stąd przeciw wrogim siłom w tak samo wyjątkowy sposób, jak wyjątkowem jest ciemiężenie — oto, zdaje się nam, jedyny środek skutecznej obrony „wydziedziczonych“ narodowo, czy społecznie.

Ziemomysł.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sławetne wybory pruskie z d. 20 b. m. niewiele zmieniły sperandę z prawyborów wymłóconą. Na 431 (pełna Izba liczy 433 posłów) wyborów jest 146 zachowawców, 52 wolnomyślnych zachowawców, tj. niewolników zachowawczości, 97 środkowców katolickich, 79 narodowo-liberalnych, tj. nieprzyjaciół katolicyzmu, liberalizmu w dawnem, szlachetnem znaczeniu i polskości, 31 wolnomyślnych, 2 Duńczyków, 2 z nowego stronnictwa reformy, 2 socyalistów, 5 bezsztandarowych „dzikich,“ nakoniec 13 Polaków. Ostatnia liczba nie uległa zmianie od wyborów poprzednich. W jednym okręgu na Śląsku, pszczyńsko-rybnickim, gdzie postawiono kandydaturę polską, zwyciężyli hakatyści, w opolskim upadł Szmula, lichy Polak, ale zawsze od Niemca lepszy. W Poznańskiem i Prusiech podobno wyszło z urn czterech posłów młodych — młodą politykę uprawiać mających. Zapowiadają nam zerwanie z tradycyami tych połowicznych, półgębkowych, półsercowych luminarzy, tych duchowych pokrak, które dotychczas wyłącznie zapychały miejsca w sejmie, zostawione dla Polaków: zobaczymy.

Władza dyecezyalna w Poznaniu dopuściła się nikczemnego nadużycia. Biskup Likowski, chcąc zmusić kleryków seminaryum I kursu do uczęszczania na lekcye nowej akademii niemieckiej, zamknął ich w areszcie, a wypuścił dopiero po otrzymaniu cyrografów na dusze tej biednej młodzieży. Taka jest poznańska ewangelia i pedagogia, taki Chrystus, i taka wiara i miłość Chrystusowa.

We Francyi ciągnęły się dalej rozprawy nad projektem Chaumiégo, a właściwie rządu. Ramię państwa sięga już teraz po duchowieństwo świeckie. Rząd otrzymuje prawo wzbraniania im wszelkiej nauki, którą za szkodliwą uzna. Samej istoty prawa Falloux z r. 1850, wolności dla wszystkich, niby nie tknięto, ale poddano ją pod wolę rządu. Clémenceau bronił wolności niepoddanej nikomu, rzetelnie demokratycznej. Ostrzegał przed monopolem państwowym, który w żadnym zakresie życia nie jest tak niebezpiecznym i bezprawnym, jak właśnie w szkolnictwie. Przykładem Austryi odstraszał monopolistów, powołaniem się na Wielką Rewolucyę przykuwał do wiary w prawa człowieka i czci dla nich. Na razie zebrał

---

kiego rodzaju. Dopiero, gdy stosunki te grożą znacznem nadwyrężeniem majątku, występują one w obronie bytu swego oraz dzieci i prawo bierze je naówczas pod swą opiekę.

Z Kobe pociąg biegnie samym brzegiem Śródziemnego, japońskiego morza, które jest ładne, ale nie do tego stopnia, jak je w swoim czasie opisywał Kipling. Przepłynąłem je, byłem i na parowcu, a nawet miałem małą przygodę, gdyż w najwęższym przesmyku o mało okręt jakiś nie wpadł na nasz statek. Ryki, ogłuszające syreny, dzwonki, przejmujące sygnały kapitańskiej piszczałki, tupot biegnących nóg, brzęk łańcuchów, drżenie wstrzymanego nagle i cofniętego kontrparą statku, następnie cisza. Wszyscy, rozumie się, wyleglišmy na pokład. Na skałach poblizkich brzegów pełgały czerwone łuny płonących u wody majaków. Gorzał tam cały szereg ogromnych beczek z naftą, i wyglądało to wszystko złowrogo, jak pożar. W krwawym zmroku, wśród krwawo połyskujących wód, o kilkanaście zaledwie sążni od nas, kołysał się czarny, wyniosły dziób wielkiego parowca i, chyląc się, łypał na nas szeregiem oświetlonych okien kajutowych. I tam też widać było niepokój: zielone, czerwone i niebieskie światła latarni sygnałowych migały trwożnie na masztach.

Miejsce było wązkie, kręte i statki się nie spostrzegły na zwrocie. Po niejakim czasie ruszyliśmy dalej a winowajca pozostał na kotwicy w cieniu wysokiej góry. Pasażerowie rozeszli się bardzo zadowoleni z niebezpieczeństwa, które już minęło, a którego nawet „nie było,“ jak twierdził kapitan. Wnoszę ze słów niektórych, że nie rozumieli całej grozy położenia. Patrząc na spienione fale, bijące w strome oślizgłe skały, na wartki prąd, widziałem jasno, że nikt z nas by stąd cało nie uszedł i długo stałem na pokładzie myśląc o kraju. W parę tygodni potem przeczytałem w gazetach, że niedaleko od tego miejsca poszedł w podobny sposób na dno japoński parostatek, wiozący kompanię „gejsz“ wracających z Osaka, gdzie tysiąc ich brało udział w religijnej procesyi tysiącolecia jednej ze świątyń. Szesnaście dziewcząt i wielu innych podróżnych utonęło i nawet ciał nieszczęśliwych nie znaleziono. Kogo woda nie zalała odrazu tego bałwany rozbiły o głazy. Prądy tu zdradliwe i skały nieprzystępne. Za to wyglądają bardzo malowniczo. Na wierzchołku jednej z nich, ostrej jak igła, samotnie wznoszącej się wśród zatoki, niedaleko Kobe stoi śliczna, mała latarnia morska, podobna do orlego gniazda.

Kolej wciąż biegnie, mając z jednej strony perłowe morze a z drugiej pola ryżowe bez końca. Pewnie to już drugi zbiór ryżu, gdyż widziałem na północy łany o wiele dojrzalsze. Ponieważ kompost rybi staje się coraz droższym, Japończycy probują zastąpić go inną mierzwą: bobowymi wytłokami oraz zielonym nawozem. W tym celu zasiewają na zimę pola ryżowe koniczyną, którą następnie przyorują. Sadzą też i inne rośliny, ale wszystko to nie może zastąpić śledziowego kompostu, który daje najwyższe gatunki ziarna, najzwięźlejsze, najobfitsze i najmniej obsypujące się kłosy, oraz słomę trwałą, niełatwo pokładającą się od wiatru i deszczu. Ponieważ znaczną ilość takiego kompostu nabywa Japonia od Rosyi z Sachalinu, gdzie są nieprzebrane połowy śledziowe, stąd wyłania się nowa strona stosunków rosyjsko-japońskich, pewna ekonomiczna zależność Japonii od Rosyi, skłaniająca do zgody i mogąca dać dobre rezultaty dla obu państw, gdyż Japonia przedstawia doskonały rynek dla rosyjskiego rybołówstwa, poczynającego rozwijać

oklaski, ale sprawę ostatecznie przegra, i nie pomoże mu to, że się dopominał oddzielenia kościoła od państwa, które zresztą jest już na porządku dziennym. Dzisiejsza Francya patrzy na cały stosunek dwu światów ze stanowiska, nie ideałów wszechludzkich, ale niebezpieczeństwa, jakiem przyszłości jej grozi współka tronu z ołtarzem. Stanowisko to nieraz tu już uwydatniano i z punktu widzenia interesów politycznych Francyi usprawiedliwiano.

W Izbie deputowanych Delcassé oznajmił, że Francya poprze Rosyę i Austryę przeciwko Turcyi. Na wniosek, aby od niej wyszła nowa propozycya rozbrojenia, po spełzłej w latach 1898—9, minister odpowiedział bardzo rozsądnie, że nie do Francyi należy początkowanie, a to z przyczyn tak jasnych, że ich wyjaśniać nikomu nie potrzeba.

Mowa Körbera z d. 17 b. m., wyłuszczająca, w sposób dla Węgrów przychylny, treść konstytucyjnego związku między Przed- a Zalitawią, mocno się nie podobała w Peszcie. Nazajutrz kossutowiec Nascy i rządowiec Lovacsy, z upoważnienia swych stronnictw, wskoczyli na gorący kamień: niewolno w Wiedniu mówić o konstytucyi węgierskiej, ani wewnętrznej, swoistej, ani zewnętrznej wspólnej. Tisza dla zmiękczenia opozycyi zabronił „cudzoziemcom“ wtrącać się w sprawy węgierskie — cudzoziemcem zaś jest Körber. Minister przedlitawski d. 20 b m. odparł atak zapowiedzią, że Austrya nie pozwoli nikomu uszczuplać praw swych, płynących ze wspólności; armia należy do obu połów monarchii, obie więc obchodzić musi. Gdyby kiedykolwiek we wzajemnych stosunkach rozledz się miało słowo „obcy,“ niechaj to wiadomem będzie, że pierwszy użył go prezes ministrów węgierskich. Oklaski otrzymane przez obu koncertantów politycznych nie wstrzymały obu Izb sejmowych od walki z nimi na innych polach. Obstrukcya w Peszcie trwała do 24 b. m.; dopiero wtedy kossutowcy zgodzili się na wybranie delegacyi, zwołanej już na 15 grudnia. W Wiedniu Czesi dotychczas pokazują tylko rogi, jeszcze nie bodą. — D. 24 b. m. p. Dzieduszycki miał mowę, którą telegraf nazywa świetną. Stanowisko *do ut des* niewzruszone, ale strażnica na niem po staremu licha: rząd więcej od Koła Polskiego dostaje, niż Galicya od rządu. Zajęcie się Koła § 14 jest nieszczerem, a obojętność wobec wiadomego wniosku Czechów — nierozumną. Tak postępują tylko niedołęgi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY GALICYJSKIE.

Budżet galicyjski. — Urzędnicy polscy w Wiedniu.— Kwestya urzędnicza. — Upaństwowienie kolei Północnej. — Sejmik relacyjny posła Greka. — Rady powiatowe. — Z prasy.

Zwołanie Rady państwa znowu przesunęło punkt ciężkości do Wiednia, gdzie, wobec zupełnej prawie bezwładności i opieszałości sejmu, koncentrują się najżywotniejsze sprawy kraju. Przedłożony parlamentowi budżet — niepomyślny — wykazuje i w dziale galicyjskim słaby tylko wzrost w porównaniu z budżetem poprzednim. Tylko w dziale ministeryum spraw wewnętrznych powiększą się wydatki w porównaniu z rokiem 1903 o kwotę 485,867 koron, podczas gdy w trzech latach poprzednich nadwyżka wynosiła tylko 313,900 koron. Tłumaczy się to tem, że znaczna część nadwyżki tegorocznej przypada na uregulowanie płac dyetaryuszów i pomocników kancelaryjnych. Obok tego zostanie pomnożona liczba urzędników administracyjnych w Galicyi o 29.

W innych ministeryach wydatki wzrosły bardzo umiarkowanie. W budżecie ministeryum oświaty należy podnieść kwoty na utrzymanie trzech nowych gimnazyów galicyjskich, nie licząc świeżo upaństwowionego w Cieszynie.

I znowu podniosą się skargi na upośledzenie Galicyi przez rząd centralny. A jednak, choć w znacznej mierze słuszne, są one zwykle skierowywane pod fałszywym adresem. Bo — spytajmy — któż ma dbać w Wiedniu o potrzeby kraju? Przedewszystkiem Koło polskie, które powinno domagać się z jednej strony wydatniejszego uwzględnienia potrzeb galicyjskich, a z drugiej starać się o obsadzenie dykasteryj wiedeńskich ludźmi, znającymi te potrzeby i biorącymi je szczerze do serca.

Tymczasem na wszystkie prawie posady w centralnych zarządach wiedeńskich mianowani są prawie wyłącznie Niemcy, wyjątkowo Czesi. W ministeryum kolejowem niema ani jednego wyższego urzędnika Polaka, pomimo że zatrudnia ono olbrzymią liczbę osób. W ministeryum handlu i centralnym zarządzie poczt i telegrafów Polacy świecą zupełną nieobecnością na wszystkich wyższych stanowiskach. W zarządzie domen i lasów sami Niemcy, do których należy administracya dóbr kameralnych w Galicyi. W zarządzie loteryj państwowych i w górniczym toż samo. W całem ministeryum skarbu jest zaledwie paru urzędników, tak samo jak i w ministeryum oświaty, gdzie jedyny Polak piastuje urząd szefa sekcyjnego. Nie lepiej jest i w ministeryach sprawiedliwości albo spraw wewnętrznych, nie mówiąc już o ministeryum wojny.

W ten sposób we wszystkich dykasteryach wiedeńskich siedzą ludzie, w najlepszym razie niemający żadnego wyobrażenia o stosunkach galicyjskich. Życie polskie i rusińskie jest dla nich najzupełniej obce i nawet tam, gdzie traktują potrzeby tego życia objektywnie, stosują dość obce szablony. Ale objektywne traktowanie tych potrzeb jest czemś bardzo rzadkiem. Zwykle interesy Galicyi tendencyjnie są spychane na plan dalszy, bo wiadomo, że Koło polskie o nie się nie upomina.

Sprawa wykluczania Polaków od udziału w wiedeńskich zarządach centralnych była niejednokrotnie poruszana na posiedzeniach Koła polskiego, ale na tem „poruszeniu“ zwykle się kończyło. Wyjątkowo tylko starano się o umieszczenie kogoś, ale i to prawie zawsze czyniono nie ze względu na potrzeby krajowe, tylko dla poparcia jakiegoś protegowanego którejś ekscelencyi. Osiągano to jednak nie w drodze żądań uprawnionych, lecz zwykłym sposobem Koła — prośbami w przedpokojach ministeryalnych.

Kwestya urzędnicza jest w Galicyi kwestyą aktualną, nietylko ze względu na obsadzanie Polakami dykasteryj wiedeńskich. Stan urzędniczy odgrywa w Galicyi rolę wyjątkową, gdyż reprezentuje w życiu publicznem najliczniejszy zastęp inteligencyi miejskiej. Wobec ekonomicznego zacofania kraju jest on w Galicyi nadzwyczaj ważnym czynnikiem gospodarczym. Dość powiedzieć, że obiedwie stolice kraju opierają swój byt ekonomiczny w przeważnej części na konsumentach ze sfery urzędniczej, a otwarcie w jakiemś mieście galicyjskiem nowego urzędu, sądu, szkoły średniej itp. instytucyi, odrazu przyspiesza tętno życia ekonomicznego w danym punkcie To też w podwyższeniu płac urzędników zainteresowane są bardzo szerokie sfery ludności, żyjącej z zarobków na klasie urzędniczej.

---

się na pobrzeżach Oceanu Spokojnego. Lecz czy Rosya zechce się z tymi względami liczyć? Japonia zaś jest dość zawziętą, aby, w razie doznanej przykrości, zamknąć swe rynki dla towarów rosyjskich nawet ze szkodą dla siebie. Przecież przez setki lat była niedostępną dla wszystkich cudzoziemców.

Lecę przez te pola wychuchane, przez te okolice pełne ładu, zamożności i prastarej kultury, mijam porządnie zabudowane miasta, wioski śliczne i oddzielne kolonie, widzę gładkie, równe drogi, wysadzone krzywemi sosnami, malowniczo odbijającemi na błękitnem tle morza, gmachy szkolne, które tu wszędzie są najokazalszymi budynkami, patrzę na współtowarzyszów podróży, przeważnie pogrążonych w czytaniu książek i gazet, a znając poszanowanie Japończyków dla prawa i ich chciwość wiedzy, wspominam jednocześnie inne wsi, inne miasta i inne obszary...

Widoki z okien otwierają się coraz piękniejsze. Probuję niektóre fotografować w biegu. Aparat fotograficzny w rękach cudzoziemca bardzo jest nieprzychylnie widziany przez ludność miejscową. Moje próby wywołują sensacyę. Stary jegomość z *vis-à-vis* z zaplecioną w warkoczyk siwą brodą, bardzo mi się przygląda. Jedynie kupiec z Osaka nadal mię protegnje, skończył jednak wręczeniem mi adresu swego sklepu.

Morze to zjawia się, to znika. Czerwone, piaskowe góry, porosłe sośniną, krążą i tańczą dokoła nas. Raz wraz pociąg przeszywa je w otworze tunelów. A między górami z obu stron nawodnione pola ryżowe, otoczone wałeczkami gliny. Na tych wałeczkach rośnie zwykle jakaś ciemna roślinność, ostro odrzynająca granice bladych łanów zbożowych. Jesienne, czerwone kwiaty błyskają na grzędach, koło zgrabnych domków wieśniaczych, na stokach nasypów kolejowych. Kępy bambusowych zarośli ciemnieją na jasnym od słońca krajobrazie, niby wachlarzowato złożona garść misternej, zielonej koronki. Znów wśród krętych sosen, wśród ciemnych cyprysów i tuj miga ślicznie wywinięty dach świątyni, bieleją kamienie ukwieconych i umajonych, wcale nie smutnych cmentarzy japońskich. Białą wstęgą drogi idzie sznur ludzi w dużych, stożkowatych kapeluszach. Niektórzy dźwigają na plecach lub nosidłach ciężary, lecz wielu idzie swobodnie z wielkim parasolem z naoliwionego, żółtego papieru i ciemnymi pręcikami, podobnym do skrzeli jakiejś morskiej ryby. Dama z jedwabną, liliową parasolką i czerwonym kwiatkiem w czarnych włosach jedzie na leciuchnym, dwukołowym wózku, ciągnionym przez półnagiego kurumę (dorożkarz). Koń-człowiek biegnie, zda się, bez wysiłku, jego tęgie, z bronzu odlane, słupowate nogi miarowo biją o biały tok drogi. Znów góry rozdarły się i morze błękitne, zamglone morze, zmieszane z zamglonem powietrzem, ukazało się, poplamione ciemnymi przylądkami i dalekiemi, górzystemi wyspami. Białe żagle płyną od nich i ku nim. Wszędzie pracowicie, ludno, ale spokojnie. Na polach pojedyncze głowy wieśniaków, pielących zboża, wystają ponad kłosy, lecz niewprawne oko łatwo by je mogło wziąć za strachy na ptaki, gęsto rozstawione wśród niw i przebrane w japońskie „kiripnony“; ruchy ciągłe, lecz spokojne pracowników ledwie zauważyć się dają i nie świadczą wcale o wysiłku, tylko o pilności.

(C. d. n.)

Te sfery drobnomieszczaństwa z niekłamaną sympatyą śledzą ruch w kierunku polepszenia bytu urzędników, rozwijający się coraz bardziej w ostatnich czasach. Niedawno przeprowadzona regulacya płac urzędniczych poprawiła do pewnego stopnia położenie urzędników, ale nie wszystkich i nie w takim stopniu, w jakim się tego spodziewano. Świeżo odbył się w Krakowie wiec urzędników, na którym pomiędzy innemi żądaniami domagano się, aby urzędnikom galicyjskim przyznano bodaj 90% tego dodatku aktywalnego, jaki przyznano urzędnikom wiedeńskim, tem bardziej, że Kraków zaliczono do tej samej klasy podatku domowo-czynszowego, co i Wiedeń. Powstała myś założenia wielkiego stowarzyszenia, któreby ogarnęło ogół urzędników galicyjskich i podjęło walkę o interesy zawodowe stanu urzędniczego. Trudno przesądzać, czy projekt ten dojdzie do skutku, ale to pewna, że wśród urzędników galicyjskich jest obecnie bardzo znaczny zastęp ludzi, którym się już sprzykrzyły wieczne prośby i błagania i którzy chcą wprowadzić walkę o byt na drogę zorganizowanej samopomocy. Zmusiło ich do tego niedołęztwo Koła polskiego, niechcącego, a raczej niemogącego nic zrobić wskutek uzależnienia się od rządu centralnego.

To niedołęztwo staje się widocznem coraz szerszym sferom. Taka np. sprawa upaństwowienia kolei Północnej, ciągnąca się już od niepamiętnych czasów, jest jednym z nowych dowodów gnuśności wiedeńskiej reprezentacyi Galicyi. Oto właśnie minął rok, jak Koło polskie w obecności dr. Piętaka, ministra dla Galicyi, uchwaliło jednogłośnie zażądać upaństwowienia tej kolei. Dnia 18 listopada 1902 r. zapadła uchwała, a choć do końca sesyi parlamentarnej pozostawał jeszcze cały miesiąc, to jednak prezydyum Koła nic a nic nie uczyniło, ażeby wprowadzić ją w życie. Dopiero po zebraniu się ponownem Izby w styczniu 1903 r., kiedy w prasie galicyjskiej powstał niemały huczek z powodu zwłoki w załatwieniu tak ważnej dla kraju sprawy, prezydyum Koła zawiadomiło rząd, że upaństwowienie kolei Północnej jest jednem z głównych jego żądań ekonomicznych. Minister Wittek zbywał członków Koła frazesami, ci zaś nie chcieli go nudzić i przypominali sprawę tylko wówczas, kiedy opinia publiczna kraju zbyt już energicznie na nich naciera. W końcu komisya kolejowa uchwaliła 24 głosami przeciwko 16 konieczność upaństwowienia kolei Północnej — i od tego czasu, w ciągu ośmiu miesięcy, nic o całej sprawie nie było słychać. Prezydyum Koła, interpelowane przez któregoś z posłów, oświadczyło, że nic a nic nie może powiedzieć o układach z rządem, dotyczących tej sprawy. Poseł interpelant zupełnie zadowolił się taką odpowiedzią, jak na prawdziwego „demokratę“ Koła przystało, i znowu nikt nie wie, czy kolej Północna zostanie upaństwowiona i kiedy to nastąpi.

W Rzeszowie odbył się sejmik relacyjny posła dr. Greka, jednego z najzdolniejszych adwokatów galicyjskich, którego wybór uważany był w pewnych kołach za początek nowej ery w dziejach reprezentacyi polskiej w Wiedniu. Tymczasem poseł Grek, który bezwarunkowo, jako osobistość wybitna, mógł odegrać w parlamencie znaczną rolę, utonął w Kole polskiem i poprostu zmarnował się w ciągu stosunkowo bardzo krótkiego czasu.

Sejmik relacyjny p. Greka budził powszechne zainteresowanie, to też zjawiły się na nim obok wyborców szersze koła inteligencyi i robotników, nawet z poza Rzeszowa. P. Grek oświadczył, że poznawszy wszelkie zaułki i zakamarki życia parlamentarnego, przyjrzawszy się stronnictwom i ich programom, uświadomiwszy sobie całość ich pragnień i dążeń, doszedł do przekonania, że właściwie parlamentu dziś niema. Spór czesko-niemiecki nie jest chwilowym, jest to ciężka, śmiertelna choroba, przełom konstytucyjny. Rozpoczął się on już u kolebki konstytucyi, od dyplomu lutowego 1861 r., od tej konstytucyi, która jest podstawą dzisiejszej. Nie uznawali jej Czesi i nie obsyłali parlamentu w ciągu lat wielu. Polska delegacya weszła do parlamentu, zastrzegając się przeciwko konstytucyi i parlamentowi centralnemu. Nie odpowiada ona istotnie interesom indywidualnym poszczególnych królestw i krajów, tak różnych pod względem cywilizacyi i stosunków kulturalnych. Ta konstytucya stworzyła wieżę Babel. Ludzie nie rozumieją się — kluby narodowe, krajowe, są sobie obce, skazane na kompromisy dyplomatyczne. Galicya wstąpiła w okres konstytucyjny z poczuciem słabości zewnętrznej. Miasta były niemieckie (?), w Brodach wybrano nawet Niemca na posła; ludu wiejskiego nie byliśmy pewni, gdyż ćwierć wieku zaledwie oddzielało nas od rzezi 1846 r. Byliśmy zdezorganizowani polityką austryacką — *divide et impera*. W takich warunkach, zamiast daleko idących żądań, mogliśmy się tylko zdobyć na mdłe rezolucye. Reforma 1873 r. i zniesienie obsyłania parlamentu przez sejmy zdegradowało sejmy do stanowiska rad powiatowych. Rządy Badeniego próbowały pozbawić Niemców hegemonii w Austryi, zakończyły się zwycięstwem mniejszości nad większością, zabiciem parlamentaryzmu. Rządy Körbera — to hegemonia niemiecka bez buty krzyżackiej, to szkoła dyplomacyi i podstępu, wyzywania jednych przeciwko drugim. W stosunku do rządu Körbera większość Koła uchwaliła politykę „wolnej ręki.“ Dziś bilans taki: Niemcy połączeni, większość rozbita, koalicya czeska zatamowała wszelkie widoki istnienia parlamentu.

Jakież z tego wyjście? Zdaniem posła Greka ani zmiana regulaminu, ani wprowadzenie powszechnego głosowania nie zapobiegnie złemu. Tylko zmiana konstytucyi w kierunku federalistycznym, opierająca ustrój Austryi na samodzielności jej krajów, może państwo uratować. Ten sam środek jest najodpowiedniejszym i dla interesów Galicyi, której dobrobyt się obniża, produkcya cofa. Upadek znaczenia Austryi na zewnątrz wskutek przełomu wewnętrznego powoduje wypieranie jej z rynków zewnętrznych, stąd produkcya prowincyj przemysłowych coraz bardziej ciąży nad rynkiem galicyjskim, niwecząc tu wszelkie zarodki rozwoju. Liczyć możemy tylko na własne siły, tylko na swój rząd krajowy, wyposażony szeroką kompetencyą, odpowiedzialny przed sejmem.

Po sprawozdaniu posła Greka wywiązała się dyskusya, w której zapomniano zupełnie o działalności jego w parlamencie, natomiast dużo mówiono o „szkodliwej robocie“ opozycyi pozakołowej. Pan poseł wywinął się od interpelacyj, poprostu wykręcił się sianem od odpowiedzialności za solidaryzowanie się ze wszystkiemi szachrajstwami Koła, a publiczność rozeszła się, zupełnie przekonana, że Koło nic a nic zrobić nie może, bo przeszkadza mu Wiedeń i poseł Daszyński. Rozsądne słowa p. Burdy, przywódcy stronnictwa miejscowej organizacyi robotniczej, o reformie wyborczej i wyodrębnieniu Galicyi nie wywarły wrażenia na wyborcach, otumanionych gładkiem gadaniem p. posła. To też uchwalono bezmyślną rezolucyę, domagającą się, aby posłowie polscy energicznie walczyli (!!) o samorząd i przeobrażenie konstytucyi państwa „w odpowiednim kierunku.“ Co ma znaczyć to ostatnie wyrażenie, nikt chyba z wyborców p. Greka nie wie, ale dzięki tej bezmyślnej kombinacyi wyrazów p. Grek stanie się jednym z popularniejszych „polityków,“ bo takie frazesy do niczego nikogo nie zobowiązują, a jednak pozwalają wygłaszającym je paradować w roli obrońców kraju.

Tymczasem każdy, kto nie chce tendencyjnie zamykać oczu na smutną rzeczywistość, musi przyznać, że i najszerszy samorząd nic nie pomoże, o ile z tego samorządu będą korzystały panujące dziś w Galicyi czynniki, które potrafiły zepsuć i to, co mogłoby w innych rękach być narzędziem postępu i dźwigania się kraju.

Oto np. w *Słowie Polskiem*, a więc w organie bardzo dalekim od jakichkolwiek idej przewrotowych, znajdujemy bardzo dosadną charakterystykę bezczynności, apatyi i gnuśności instytucyj, któreby mogły odgrywać wybitną rolę w życiu kraju. Chodzi mianowicie o rady powiatowe, opanowane przez kliki szlacheckie, uważające je za środek i źródło wzbogacania się i wywyższania. Według zdania autora artykułów *Słowa Polskiego*, egoistyczne pojmowanie gospodarstwa powiatowego przez panujące obecnie w radach kliki paraliżuje wszelką możność wydobycia się z anarchii administracyjnej, utrudnia pracę około ekonomicznego podniesienia kraju. Autor artykułów bierze poszczególne pozycye finansowe z budżetu jednej takiej typowej rady powiatowej i na podstawie tych cyfr charakteryzuje jej opłakaną gospodarkę. Tak np. fundusz administracyjny rady powiatowej wynosi 32,500 koron. Z tego sam aparat administracyjny pochłania 12,000 koron; drugie tyle wynoszą raty i procenty od długów, tak że na podniesienie rasy bydła, na szkoły i na ulepszenie sadownictwa pozostaje po 200 koron rocznie. Fundusz drogowy wynosi 52,000 k., z czego urzędnicy i służba zabierają 10,000 k. Drogi, budowane przez radę powiatową, dzielą się na trzy kategorye. Pierwsza obejmuje drogi zbytkowe, do drugiej należą budowane dla osobistości, posiadających duże majątki i wielkie wpływy w Wiedniu, na szarym końcu dopiero znajdują się drogi dla potrzeb powiatu — i te budowane są pod naciskiem. Rada powiatowa, rozporządzając nieumiejętnie, niedbale i bez żadnego planu funduszem podatkowym, nie zwraca najmniejszej uwagi na wyzyskanie istniejących środków, pozwalających na przeprowadzenie w całym powiecie doskonałych dróg w ciągu lat kilku. Są gminy, które mogą dać po kilkaset dni roboczych rocznie na reparacyę dróg, ale nikt się o to nie upomina. Istnieją miejscowe zarządy drogowe, ale wójt, licząc na bezkarność, nic sobie ze swych obowiązków nie robi. I trudno się temu dziwić, bo płatni inżynierowie i sekretarze siedzą w domu, a roboty inżynierskie prowadzi najczęściej sam wójt, albo jego zastępca. Ponieważ od ludzi ciemnych i niewykwalifikowanych trudno wymagać, aby niwelowali drogę, oznaczali spadki, regulowali odpływy itd., przeto na „rekonstrukcyę“ dróg, tj. na naprawę tego, co zepsuli, traci się olbrzymie sumy.

Administracya innych gałęzi gospodarstwa w powiatach pozostawia jeszcze więcej do życzenia. Ustawa np. poleca radzie powiatowej kontrolę gospodarstwa gminnego i dlatego nadaje jej prawo wglądania w czynności wójtów i pisarzy. Tymczasem rada kontroluje jedynie księgi kasowe, usuwając się zupełnie od wykrywania nadużyć. Bywały wypadki, kiedy poborcy podatków, ze wszystkimi dostojnikami gminnymi na czele, pobierali podatki za wysokie, a składali do kas sumy daleko mniejsze. Otóż wydział powiatowy, zamiast wziąć sprawę w swoje ręce, przeprowadzić śledztwo i winnych oddać pod sąd, zbywa rzecz odesłaniem poszkodowanych do sądu, wystawiając chłopów na zemstę osobistą tych, których należało pozbawić urzędu. Rada powiatowa przekształca się nieraz na biuro agitacyjne do wyborów, a więc owe śmiecie gminne, wysunięte na czoło zarządu, są jej potrzebne jako narzędzie.

Autor artykułów w *Słowie Polskiem*, w piśmie narodowo-demokratycznem, stojącem na stanowisku obrony interesów klasowych wielkiej własności ziemskiej, nie krytykuje naturalnie zbyt ostro postępowania szlachty, wyzyskującej rady powiatowe dla celów egoistycznych. W każdym razie i on nie może się powstrzymać od malowania takich np. obrazków.

Istnieją gminy, w których pisarz jest jednocześnie zastępcą wójta, to znaczy — zwierzchnikiem samego siebie, odpowiedzialnym przed sobą samym. Taki pisarz może być wisielcem skończonym, nałogowym pijakiem, wyzyskiwaczem ludności wiejskiej w najwyższym stopniu, rada powiatowa wie o tem wszystkiem bardzo dobrze, ale pisarz posady nie traci, bo „robi wybory w gminie." Dzięki takiemu pisarzowi zwyciężają kandydatury „narodowe" na Rusi; jakże tu nie tolerować obrotnego złodzieja i wisielca, skoro od niego zależy zachowanie polskiego „Besitzstandu"?

Koniec końców obecne rady powiatowe są niedołężnem narzędziem, skoro chodzi o dobro gospodarki powiatowej, natomiast wyśmienitym środkiem konserwowania wpływów i nadużyć obszarników. Nie brak radom powiatowym ani egzekutywy niezbędnej, ani środków. Za to, co wynoszą pensye i co kosztują rozjazdy urzędników, możnaby pobudować dostateczną ilość dróg, założyć mnóstwo szkółek owocowych w gminach, uporządkować szkoły wiejskie. Ale przeprowadzenie tego wszystkiego zależy nie od ściślejszej kontroli sejmu i wydziału krajowego, jak mniema autor artykułów ze *Słowa Polskiego*, lecz od złamania przewagi politycznej obszarników przez reformę ordynacyi wyborczej tak w radach powiatowych, jak i w sejmie.

Zwykle przed Nowym Rokiem spotykamy się z zapowiedziami nowych pism, które w listopadzie i grudniu obiecują czytelnikom złote góry. W tym roku w Galicyi nie mamy tych zapowiedzi, natomiast licznej drużynie dzienników lwowskich ubywa jeden — klerykalny *Przedświt*, który zanika, przekazując swych nielicznych czytelników *Przeglądowi*. Ubywa też prasie lwowskiej *Tygodnik Polski*, niezmiernie zabawne pismo, redagowane przez p. Władysława Studnickiego. Ciekawe są krótkie dzieje tego tygodnika, puszczonego w świat z hukiem iście amerykańskiej reklamy. Wydawca *Tygodnika Polskiego*, p. Mrawinczyc, oświadczył, że z pomiędzy różnych programów „wybrał" narodowo-demokratyczny i w duchu tego programu będzie pismo prowadził. Pod względem zewnętrznym było ono doskonałą kopią *Kraju* petersburskiego, a przybrawszy sobie za redaktora p. Studnickiego, przekształciło się na coś nader humorystycznego. Ludzie ściskali ramionami, oglądając liczne obrazki i oryginalne enuncyacye p. Studnickiego, popstrzone właściwymi mu błędami ortograficznymi, ale pisma ani czytać, ani prenumerować nie chcieli, choć ogłosił, że prenumerata przyjmowana będzie „z dołu." Teraz pismo przestaje wychodzić, a p. Studnicki znowu powraca do *Słowa Polskiego*.

Daleki.

Szkoła sztuk pięknych w Warszawie.

Zbyt wielka cisza panuje około sprawy powstawania szkoły sztuk pięknych w Warszawie.

Czyja to wina? — Publiczności, prasy, czy organizatorów?

Zdaje się, że wszyscy poczęści do tego się przyczynili.

Publiczność nasza stanowczo nie docenia doniosłości, jaką może mieć utworzenie u nas szkoły artystycznej.

Tyle w ostatnich latach powstawało szkół prywatnych o najrozmaitszych programach i kierunkach, że wielu nie odróżnia znaczenia *tej* od innych. Nawet można się spotkać z zarzutem, że chcemy niepotrzebnie powiększać zastępy artystów, przymierających głodem, że naród nasz ma aż nadto zachcianek literacko-artystycznych *), a zbyt mało rozumie potrzebę rozwoju ekonomicznego, że dumą nas przejmują amerykańskie np. tryumfy naszych muzyków, a patrzymy obojętnie na nasz przemysł, cały niemal w rękach cudzoziemców, że w kraju nawskroś rolniczym nie mamy szkół średnich rolniczych, a zachciewa się nam muzeów sztuki, szkoły sztuk pięknych itd. itd.

Wszystko to na pozór brzmi słusznie, ale tylko na pozór. Naturalnie, że założenie szkoły sztuk pięknych nie uwalnia nas od kształcenia się w rolnictwie i naodwrót, ubieganie się np. o rynki Dalekiego Wschodu nie powinno odwrócić naszej uwagi od Kasy Mianowskiego, Muzeum przemysłu i rolnictwa, Tow. Zachęty lub nowo powstającej szkoły sztuk pięknych. Tamte zdobycze zapewniają nam chleb, te rozwijają nas kulturalnie. Ta kultura musi być własną, jak własnym jest język i tradycye narodowe.

Nie jest zadaniem szkoły fabrykowanie coraz to nowych zastępów młodzieży, malującej koniki lub główki, których nikt nie kupuje, lecz powinna ona stworzyć w Warszawie ognisko sztuki, czerpiącej swe siły z kraju i promieniującej swym wpływem też na kraj cały. Obudzić w kołach tej młodzieży poczucie prawdziwego piękna, rozwinąć zamiłowanie do poszukiwań samodzielnych w sztuce, do twórczości niezależnej a szczerej i swojskiej, to jest coś więcej, niż nauczyć ją poprawnie kopiować lub „tłusto" malować modela.

Zmysł piękna trzeba rozwijać od dzieciństwa i to nietylko u przyszłych adeptów sztuki, ale możliwie u wszystkich bez wyjątku członków społeczeństwa. Tylko *ciągła* atmosfera estetyczna wysubtelnia i naprawdę przenika naturę człowieka. Wyjazdy artystów za granicę mogą być uzupełnieniem wykształcenia, ale nie zastąpią atmosfery artystycznej w kraju, bo wrażenia tam odebrane są nietylko chwilowe, więc nietrwałe, ale i obce naszej kulturze. Kto im podlega krótko — wraca niedouczony, kto długo — zcudzoziemczony na punkcie sztuki. Zresztą te wpływy działają tylko na dane jednostki, a społeczeństwo pozostaje im obce. Dopiero szkoła sztuk pięknych, która powstanie u nas i wśród nas, może być jednym z czynników, wpływających na stworzenie odpowiedniej atmosfery artystycznej i kształcić nietylko swych uczniów, lecz obok nich, a po części i przez nich — całe społeczeństwo.

Cel jej więc jest niezmiernie ważny a zadanie wielkie.

Aby jednak ten rezultat osiągnąć, czyż dosyć jest zgromadzić kapitały i postawić na jej czele kilku artystów mniej lub więcej zdolnych i w swej sztuce biegłych? Wszak mamy w Warszawie pełno kompletów i szkół prywatnych, artystycznych. Prowadzą je pojedynczy artyści lub po kilku łącznie, bynajmniej tego nie rozdymając do rozmiarów sprawy ogólno-społecznej. Szkoły te nietylko nasz ogół nie kosztują grosza, ale nawet przynoszą jakie takie dochody swym właścicielom.

Więc szkoła sztuk pięknych nie może być podobną do tych kompletów prywatnych w swem założeniu i musi zasadniczo różnić się od nich.

Porównanie tylko wtedy wypadnie na korzyść szkoły sztuk pięknych, 1) jeśli ona dzięki pomocy społeczeństwa dostarczy uczniom takich środków kształcenia, na jakie prywatna inicyatywa zdobyć się nie może; 2) jeśli dzięki dostarczonym funduszom będzie otwartą *dla wszystkich*, a więc bezpłatną, lub w każdym razie znacznie tańszą od szkół prywatnych, z natury rzeczy dość nieprzystępnych dla niezamożnych; obietnica licznych zwalniań od wpisu nie rozwiązuje kwestyi, bo tych zwolnień nie będzie tyle, ilu ubogich uczniów, a wybór między nimi może stać się szkodliwą bronią w ręku profesorów: nie zdolniejszy, lecz uleglejszy i układniejszy będzie miał pierwszeństwo; 3) jeśli nakoniec zgromadzi, jako profesorów, taki dobór pierwszorzędnych sił pedagogiczno-artystycznych, o jakich uczeń kompletów prywatnych nie mógłby marzyć.

Takiego rozwiązania ma prawo oczekiwać i żądać nasze społeczeństwo; wtedy dopiero będziemy mogli powiedzieć, że szkoła miała wyższe cele, niż stworzenie za pieniądze ogółu kilku posad nauczycielskich dla jakiegoś kółka artystów.

Naturalnie robimy te zastrzeżenia całkiem teoretycznie, gdyż niewiele jeszcze wiemy o nowej szkole. Dotąd wiadomo tylko, że ustawa, ułożona przez głównego inicyatora szkoły, art. mal. Stabrowskiego, jest dobrą i pozwala na pożyteczny rozwój artystyczny.

Pieniędzy na założenie szkoły zebrało się podobno niewiele, ale przykłady nas uczą, że nie tu leży punkt ciężkości powodzenia. Znamy w różnych krajach wspaniale uposażone akademie, zapewniające swym uczniom nietylko bezpłatne studya i znakomite pomoce naukowe oraz stypendyalne, ale nawet i najrozmaitsze inne prerogatywy na przyszłość, a jednak zwyciężane przez powstałe obok nich uczelnie prywatne, których byt opiera się jedynie na wpisach studentów. Te marne, brudne budy prywatne, często pobijają na polu sztuki wspaniałe instytucye państwowe. Żywym tego przykładem może być Paryż, Monachium, a po części prawie każde z większych ognisk sztuki.

Siłą, gromadzącą zastępy zdolnych uczniów, jest oprócz zapewnienia dogodnych warunków pracy, wysoka zdolność pedagogiczna kierujących profesorów. Często bardzo wybitne talenty nie posiadają tej zdolności i tem są szkodliwsze dla uczniów, że przygniatają ich swą ogromną indywidualnością, zamiast w nich własną rozwijać. Na profesorów więc niekoniecznie potrzeba pierwszorzędnych *wirtuozów* pędzla (nawet raczej unikaćby takich należało), lecz pedagogów rozumnych, znających sztukę gruntownie i wszechstronnie, a kochających młodzież. Tacy umieliby odróżnić w każdym właściwe mu cechy talentu i rozwijać je troskliwie i rozumnie.

Niema szkodliwszego kierownika nad zmanierowanego i w ciasnem korytku ulubionych sobie upodobań, sposobików, smaków i frazesów obracającego się artysty. Nawet gdyby on sam tworzył dzieła talentu, to wszystkie jego przymioty w uczniach, przez niego kierowanych, przeistoczą się najprawdopodobniej we wstrętne wady i niedołęztwo.

Szkoła i profesorowie nie powinni tresować uczniów jak pudli, ale rozwijać ich ogólnie i dać im środki techniczne, tj. przygotować należycie do późniejszej pracy samodzielnej. Równie więc szkodliwymi kierownikami są zaśniedziali rutyniści, lub ciaśni zawodowcy, jak i rozwijający się dopiero młodziutcy artyści, którzy sami jeszcze idą nieświadomie, wpadając to w jedną, to w drugą ostateczność. Każdy młody talent musi przejść ten okres, zanim się

*) Przedewszystkiem musimy zaprotestować przeciwko temu banalnemu frazesowi: artystów nie mamy zadużo. Mamy za duży procent niedouczków, którzy ani w sztuce czystej, ani w stosowanej nic nam ciekawego dać nie mogą. Prawdziwych artystów mamy zamało, a po za nimi cały niemal ogół śpi i nie odczuwa sztuki. (*Przyp. Aut.*).

zupełnie rozwinie, lecz jakiż z niego może być wtedy kierownik dla innych?

Ustawa szkoły warszawskiej jest tak obszerna, że całego programu niepodobna będzie odrazu wypełnić. Przedewszystkiem rzuca się w oczy ten szczegół, że może ona rozwijać się w dwu kierunkach: czysto artystycznym i artystyczno-przemysłowym.

Zastanówmy się nad tym punktem.

Sztuka jest jedna, wszechobejmująca to wszystko, czemu tylko można nadać kształt lub barwę. Zasadniczą podstawą jej poznania jest wyrobienie w sobie wrażliwości na wszelkie przejawy piękna i uświadamianie ich sobie. Reszta to kwestya drugorzędna i należy do strony technicznej, która rozpada się na mnóstwo działów, względnie do sposobów lub materyałów, użytych do wykonania dzieł sztuki. Źródłem tych wszystkich działów jest albo linia i barwa, czyli malarstwo, albo też kształt plastyczny — czyli rzeźba; czasem zaś i jedno i drugie w połączeniu. Tak więc, z malarstwa wypływa ornamentyka ścienna, na drzewie, na metalach lub tkaninach, tkactwo ozdobne, hafciarstwo, inkrustacya w drzewie i kości, mozajkarstwo, rytownictwo, szklarstwo (witraże) itd. Od rzeźby pochodnemi są: artystyczne kowalstwo i ślusarstwo, kamieniarstwo, grawerstwo w metalach szlachetnych, zwykłych lub w kamieniach, snycerstwo, giserstwo, modelowanie i wytłaczanie skór, cyzelerstwo itd.

Jeśli szkoła sztuk pięknych miałaby zamiar kształcić w tych działach tylko zwykłych wykonawców zawodowych, to weszłaby w zakres istniejących już szkół przemysłowych, lub zastąpiła praktykę warsztatową. Trzeba więc przypuścić, że powinnaby głównie zająć się przygotowaniem *artystów-twórców*, którzyby sami tworzyli pomysły dzieł pięknych i oryginalnych.

Takim artystą-twórcą może zostać ten, kto całokształt ducha sztuki odczuć i objąć zdołał na równi z każdym innym artystą, a więc kto sięgnął do źródła — do sztuki czystej. Taki artysta, poznawszy się następnie z warunkami pracy w pewnym dziale sztuki stosowanej, może w nim tworzyć rzeczy piękne, ciekawe i oryginalne. Nauczmy zdolnego rzeźbiarza kuć wprawnie żelazo, a zacznie nam tworzyć dzieła sztuki w żelazie, tak jak dotąd modelował w glinie. Zapoznajmy malarza z techniką inkrustacyi drzewnej, dajmy mu się rozejrzeć w materyale, jakiego dostarczają najrozmaitsze barwy i słoje drzewa z całego świata, niech zrozumie cel i charakter, jaki ten dział powinien zachować, a zacznie nam dawać piękne dzieła w tym kierunku.

Bez zrozumienia jednak celów sztuki, tej jednej, jedynej wielkiej Sztuki nikt nie stanie się ani twórcą, ani artystą, mimo że będzie kuł żelazo, lub wyrzynał laubzegą.

Chcąc więc dać społeczeństwu ludzi zdolnych do rozwijania sztuki, zastosowanej do przemysłu, trzeba z nich wpierw zrobić artystów.

Otwarcie teraz przy szkole poszczególnych działów sztuki stosowanej napotykałoby następujące trudności: brak zupełny wykwalifikowanych profesorów, bo najzdolniejszy artysta malarz, lub rzeźbiarz nie nauczy tych zastosowań, o których sam nie ma pojęcia, lub zna je po dyletancku. Tylko wieloletnia praktyka może dać dostateczną kompetencyę. Zaledwie dla malarstwa dekoracyjnego, akwaforty i witrażów możnaby wynaleźć przygotowanych kierowników. Lecz z powodu braku uczniów, a przynajmniej małej ich liczby, byłoby marnotrawstwem urządzać kosztowną, specyalną pracownię z płatnym profesorem.

A więc obiecywanie ogółowi i ofiarodawcom, że *dziś* dostaną dobrą szkołę artystyczno-fachową w szerokim zakresie sztuki stosowanej, wydałoby się nam co najmniej... ryzykownem.

Wspomnieliśmy na wstępie, że społeczeństwo niedość się interesuje powstaniem szkoły sztuk pięknych i niedość jej doniosłość ocenia. Ale doprawdy jej organizatorowie i inicyatorzy w znacznej części sami się do tego przyczynili. Choć szkoła powstaje z grosza publicznego, wszystko, co się jej tyczy, załatwia się dotychczas tak pocichu, że nic dziwnego, iż prasa podaje tylko rzadkie i krótkie wzmianki w tym przedmiocie, a przez to ogół nie może sobie dobrze rzeczy uświadomić i sprawą goręcej się przejąć.

W jaki np. sposób starano się o gromadzenie funduszów? W jaki sposób zorganizowano najwyższą władzę szkoły?

Gdy zaczęły krążyć pogłoski o powstawaniu szkoły w Warszawie, o zatwierdzonej już ustawie, którą nawet pisma wydrukowały itd., ogół nie wiedział, gdzie, komu i w jakiej formie ma składać swe ofiary. Stan taki trwał miesiące całe. Nagle *post factum* rozchodzi się wiadomość, że zwołano ofiarodawców, którzy wybrali z pośród siebie radę kuratorów, mających według ustawy tworzyć najwyższą władzę administracyjną przyszłej szkoły.

W jaki to sposób wszystko się stało?

Wybory odbyły się 7 kwietnia r. bież. w ciasnem kółku zaproszonych i w lokalu prywatnym!.. Wszystko byłoby jeszcze w porządku, gdyby ci zebrani choć zadeklarowali całkowitą sumę, potrzebną do prawidłowego rozwoju szkoły. Zdobyli się jednak tylko na drobną, bo około $^1/_6$ części tej sumy, a jednak uznali się za uprawnionych do zawładnięcia wszystkiem. Tym sposobem na przeciąg lat kilku zmonopolizowali w swych rękach cały kierunek, wpływ i władzę. Teraz społeczeństwo, które ma pokryć ogromną większość funduszu brakującego, może tylko dawać pieniądze i w milczeniu patrzeć, jak nimi rozporządzają przedstawiciele nieznacznej mniejszości. Zdawałoby się, że ci, na których imię przyszło pozwolenie, powinni byli *zaraz* ogłosić listę osób upoważnionych do przyjmowania zapisów. Prasa z pewnością gorąco by tę odezwę poparła i jeśli zebraliśmy olbrzymie sumy na pomnik Mickiewicza i na politechnikę, to tem łatwiej dałoby się zebrać nierównie skromniejszy fundusz na szkołę sztuk pięknych.

Wyznaczonoby na pierwsze zebranie nie salon prywatny, ale lokal dostępny dla wszystkich, interesujących się naszą sztuką i chętnych do niesienia ofiar, i tam wybranoby jawnie i głośno tych, w których ręce los szkoły miałby być złożony.

Dość charakterystyczną cechą dzisiejszej rady jest to, że są tam: 3 hrabiowie*), 1 baron-literat, 1 lekarz, 1 prawnik i tylko 2 budowniczych, mogących mieć prawo do kompetencyi. Że jednak szkoła nie będzie miała wydziału architektonicznego, więc i ich kompetencya jest względną. W radzie tej niema ani jednego artysty-plastyka. Wprawdzie jest to rada administracyjna, lecz nie sądzimy, żeby artysta znał się mniej na potrzebach materyalnych szkoły artystycznej, niż hrabia lub literat. Rada kuratorów zresztą ma prawo kontroli nad różnemi uchwałami rady pedagogicznej, złożonej z profesorów, a co najważniejsze, że i ten pierwszy komplet profesorów wybrany ma być przez ową radę kuratorską, a więc i nadanie całego kierunku artystycznego na długie lata od niej wyłącznie zależy. Dopiero po ukończeniu całej pracy organizacyjnej i mianowaniu profesorów, dwóch z nich wraz z dyrektorem wejdzie do rady, podnosząc jej kompetencyę fachową.

*) W pojęciu warszawskiem tytuł hrabiego równa się uniwersalnemu patentowi na wszystkie specyalności. To też wymieniamy go, jako równoległy do tytułu doktora medycyny, inżyniera, art.-rzeźbiarza itp., z tą tylko różnicą, że hrabia może być uważany za specyalistę we wszelkich komitetach zawodowych. (*Przyp. autora*).

Czyż można się dziwić, że w ten sposób poprowadzona sprawa nie budzi tak serdecznego echa w społeczeństwie, jakby się tego należało spodziewać?

Lecz pominęmy te niewłaściwości machnięciem ręki. Czyż nas nie przyzwyczaiły już do nich różne komitety, komisye pomnikowe itp.?

Wszakże na bruku warszawskim już utarł się, uświęcony zwyczajem, typ uszczęśliwiaczy społecznych, którzy sami sobie dają mandaty występowania w imieniu ogółu, sami rozstrzygają najzawilsze i niepodlegające ich kompetencyi kwestye, sami dysponują groszem publicznym, a ty, Grecyo, płać i wara szemrać, bo nazwą to warcholstwem i rzucaniem błota na zacną pracę obywatelską.

Ale mniejsza już o to, co się stało.

Teraz spodziewajmy się pierwszych dowodów, że mając dobrą ustawę, stworzono dobrą szkołę, dającą dobre rezultaty.

Społeczeństwo nasze czekało na nią od lat czterdziestu, nie można się więc dziwić, że pragnie ją mieć jak najlepszą, a tylko od jej kierowników będzie zależało, żeby się stała ukochanem dzieckiem Warszawy i całego kraju.

Kropka.

Listy z Francyi.

Paryż, w listopadzie.

Prawo Milleranda - Colliarda. — Położenie tkaczy w północnej Francyi i ich ostatni zatarg.

Jednem z najgłośniejszych praw robotniczych ex-ministra Milleranda jest t. zw. prawo Milleranda-Colliarda, dotyczące zmniejszenia godzin pracy w fabrykach i zakładach przemysłowych, gdzie pracują małoletni lub kobiety. Do chwili wprowadzenia go w życie tj. do 30 marca 1900 r. obowiązywało we Francyi prawo z 1892 r., oraz dekret z 1848 r., według których *maximum* pracy dziennej było: dla dzieci od lat 13 do 16 dziesięć godzin, dla młodzieży obojga płci od 16 do 18 lat — jedenaście godzin (ogółem jednak tylko 60 godzin tygodniowo), wreszcie dla kobiet — jedenaście godzin a dla mężczyzn dorosłych dwanaście godzin. Tak skomplikowana regulacya pracy trudną była do ścisłego kontrolowania przez inspektorów fabrycznych, to też często nie bywała przestrzeganą lub zręcznie omijaną.

Millerand miał niby wynaleźć cudowne prawo, które położyłoby kres nadużyciom, ułatwiło kontrolę oraz przełamało opór fabrykantów. Trzeba było tylko ujednostajnić prowizorycznie ilość godzin pracy w zakładach przemysłowych, mieszanych, sprowadzając ją wszędzie do 11 g. tam nawet, gdzie pracowały dzieci młodsze od lat 16 i niemające dawniej prawa zużywać sił swych dłużej ponad 10 godzin. Poświęcenie to jednak było niby konieczne dla ujednostajnienia słynnego prawa Milleranda, które stopniowo miało doprowadzić do zmniejszenia ilości godzin pracy dla kobiet i dzieci: 30 marca 1902 r. do $10^1/_2$ godziny, a 30 marca 1904 r. do 10 godzin. Fabrykanci naturalnie skorzystali natychmiast w 1900 r. z ustępstwa parlamentu i zaczęli trzymać wynędzniałe dzieci o godzinę dłużej w fabrykach, a po upływie dwóch lat, gdy przyszedł termin ograniczenia pracy do $10^1/_2$ godziny, po dawnemu wynajdywać tysiączne sposoby utrudnienia kontroli oraz obejścia prawa, o czem świadczą dziś wyraźnie sprawozdania inspektorów fabrycznych Najwyższej Rady pracy.

Gorzej jeszcze — ponieważ prawo Milleranda-Colliarda mówi tylko o stopniowem zmniejszeniu ilości godzin pracy dla ko-

biet i dzieci, oraz w zakładach mieszanych, a nie wspominana o odpowiedniem podniesieniu płacy, przeto posłużyło ono odrazu i coraz lepiej służy przebiegłym przemysłowcom, jako machiawelski środek obniżania płacy. W wielu miejscowościach dało już ono powód do poważnych zatargów, nigdzie jednak zajścia nie przybrały takich rozmiarów, jak ostatniemi czasy w pólnocnych zakładach tkackich Armentières, Houplines i całej doliny Lys.

Wprawdzie nigdzie między robotnikami francuskimi niema tak strasznej nędzy, jak wśród tkaczy północnych. Sprawozdawca nawskroś burżuazyjnego pisma *Temps* mówi, że przeciętny robotnik, obarczony nieraz czworgiem dzieci, zarabia od 12 do 15 fr. togodniowo, że po większej części jada on mięso tylko raz na tydzień, że 20% robotników zapisanych jest w dobroczynności, podczas zimy lub bezrobocia wielu z nich żywi się odpadkami buraków pozostawionymi przez trzodę — albo obierzynami z kartofli. Wiekowa nędza, ciężka, długa praca przygnębiły straszliwie całe pokolenia tkaczy północnych i pogrążyły ich w apatyę. Długi czas szukali oni pomocy w różnych urzędowych i prywatnych instytucyach dobroczynnych, albo co najwyżej w mieszanych towarzystwach wzajemnej pomocy, zostających zawsze pod kierunkiem i władzą właścicieli lub dyrektorów fabryk. Dużo warunków wpływało na nędzę i nizki poziom ich rozwoju społecznego. Przedewszystkiem przez długi czas przemysł tkacki był napół wiejski, uprawiany w domu przez wieśniaków, a pobierana przez nich płaca za pracę, niejako dodatkowym zarobkiem obok dochodów, otrzymywanych z gospodarstwa rolnego. Stąd pochodzi małe wynagrodzenie początkowe i powolne jego podnoszenie się następnie. Przytem w żadnej gałęzi przemysłu prócz tej praca kobiet i dzieci, których udział w tkactwie dosięga 63%, nie wywoływała tak wielkiej i tak szkodliwej konkurencyi. Wreszcie raptowne zaprowadzenie różnorodnych maszyn trafiło na robotników całkiem nieprzygotowanych, nierozumiejących społecznego i dobroczynnego ich znaczenia.

Dopiero w ostatnim dziesiątku lat, pod wpływem guesdystów, tkacze z wielkich miast, jak Lille i Roubaix, a później i okolic, zaczęli budzić się i pojmować przyczyny swej niedoli. W ich to środowisku założyli swe główne ognisko, swą fortecę Guesde, Delory i inni przedstawiciele skrajnego stronnictwa politycznego, antiministeryalnego „Parti ouvrier français.“ Jako najpóźniej zbudzeni i najmniej uświadomieni, północni tkacze, w przeciwstawieniu do robotników francuskich z innych gałęzi przemysłu, mają jeszcze wiarę w walkę polityczną, choć przekonali się, że ani Guesde, ani Lafargue nie zrobili nic dla nich w parlamencie, że pozostająca przez lat kilka w ich rękach rada miejska w Roubaix nie zdołała też zmniejszyć ich nędzy. I oni w ostatnich latach coraz więcej zaczęli liczyć na syndykaty i giełdy pracy, stojące na gruncie czysto ekonomicznym. Ich federacya założona przed laty 12 obejmuje dziś już 80 syndykatów i co dwa lata urządza ogólne zjazdy krajowe. W r. b. zebranie odbyło się w Saint-Etienne, w sierpniu; obradowano nad kwestyą urządzania strejku tkaczy w kwietniu roku przyszłego, to jest w chwili ostatecznego wprowadzenia w życie prawa Milleranda 10 godzinnej pracy w mieszanych zakładach przemysłowych, bez odpowiedniego podwyższenia płacy.

Stojący na czele partyi guesdystów wespół z sekretarzem federacyi tkaczów Renard'em dokładali wszelkich starań, ażeby bez względu na wzmagającą się nędzę i obniżanie płacy odwlec projektowane bezrobocie o 5 lub 6 miesięcy. Tym sposobem bowiem mogliby spokojnie przeprowadzić na wiosnę wybory do rad gminnych, a po ostatecznem wprowadzeniu prawa Millerand-Colliarda przedstawić w całej nagości odwrotną jego stronę, a tem samem skompromitować przed wyborcami zwolenników programu Milleranda, Jaurèsa i innych „arrivistów.“ Zbyt jednak uświadomieni są nawet tkacze francuscy, by ślepo słuchać jakichś przewódców, a struna nadto już była naciągnięta, by mogli czekać jakiegoś odległego terminu, na pół roku przedtem wyznaczonego. To też już w październiku wybuchły zatargi między robotnikami tkackimi a ich pracodawcami. Pierwszy z nich w Roanne zakończył się podwyższeniem płacy o 25 centimów, drugi w Angers, gdzie 5,000 tkaczów porzuciło pracę z przyczyny, iż właściciel fabryki, wbrew solennej umowie, zawartej na kilka miesięcy przedtem, nie zmienił dawnej taryfy, — wreszcie najważniejszy w Armentières pociągnął za sobą tkaczy z sąsiednich osad i miasteczek, tak że około 30,000 robotników opuściło fabryki, żądając rewizyi taryf.

W 1889 r. za zobopólną zgodą robotników i właścicieli zakładów tkackich opracowaną była taryfa, określająca ściśle zapłatę. Zdawało się, że pozostanie ona nietykalną, zwłaszcza po r. 1902, kiedy wydane zostało prawo ceł ochronnych, nadające niemal monopol fabrykom krajowym. Tymczasem wkrótce stała się ona martwą literą. Wyłączono przedewszystkiem z taryfy robotników, którzy przy tkaczach pełnią czynności pomocnicze, jak również prządzalników. Ponieważ zaś w tkactwie praca po większej części jest akordowa, więc powoli, nieznacznie zaczęto dla nieuświadomionych kobiet. powiększać sztukę, od przyjętej normy 140 do 208 metrów, nie podnosząc naturalnie płacy. Z wprowadzeniem maszyn zaczęto powierzać jednemu robotnikowi na raz 2, 3, a nawet 4 warsztaty również bez podwyższenia płacy, pomimo iż jednoczesne zajęcie się trzema maszynami wymaga niezmiernie wyczerpującego natężenia uwagi.

Z chwilą wprowadzenia prawa Milleranda-Colliarda w warsztatach mieszanych, a takich w tkactwie jest conajmniej $^3/_4$, długość dnia roboczego zmniejszono o pół godziny, nie podwyższając odpowiednio płacy. Dla niektórych było to niewiodocznem, gdyż łudzono ich, że przez $10^1/_2$ godziny po dłuższym wypoczynku będą mogli zarobić bodaj więcej, niż dawniej przy 11-o lub 12 godzinnym dniu roboczym.

Bezdarna gospodarka przemysłowców tkackich, ciągła ich wzajemna konkurencya i nienasycona żądza powiększania zysków doprowadzały do nadużyć, obchodzenia prawa i łamania ustanowionej przez nich samych taryfy. Tkaczom z Armentières nie szło o nic innego, jak tylko o zniesienie tych nadużyć, o ujednostajnienie taryfy dla wszystkich robotników, pracujących w tkactwie i prządzalnictwie oraz o ścisłe jej stosowanie w duchu prawa Milleranda-Colliarda, zmniejszającego długość dnia roboczego wszędzie tam, gdzie pracują kobiety i dzieci. Chodziło im o utrzymanie tejże samej płacy dziś i w kwietniu roku przyszłego, jak niegdyś w r. 1889, bez względu na skrócenie dnia roboczego do $10^1/_2$ godziny, a po 31 marca 1904 r. do 10 godzin. W tym też duchu wystosowali swe żądania do pracodawców, którzy na razie nie uznali nawet za stosowne odpowiedzieć im.

Dopiero po smutnych, burzliwych zajściach w Armentières, kiedy prefekt pod naciskiem prezesa ministrów Combes'a wezwał ich na obrady i uprzedził, że urządza referendum wszystkich robotników tkackich co do zaprzestania bezrobocia, — dopiero wtedy właściciele fabryk obiecali stosować się ściśle do taryfy z 1889 r. i wybrać komisyę mieszaną z robotnikami w kwestyi podwyższenia płacy, odpowiednio do skrócenia dnia roboczego, według prawa Milleranda-Colliarda. Pomimo tych obietnic znaczna większość robotników w Armentières — 7,264 głosowała za bezrobociem, a tylko 1,300 za rozpoczęciem pracy. W głosowaniu, które odbywało się pod przewodnictwem delegatów prefekta, do którego kartki rozdawali żandarmi, — przyjmowali udział wszyscy robotnicy, tkacze w Armentières powyżej lat 18 bez względu na płeć i narodowość.

Wtedy Jaurès Gérault-Richard i inni jauresiści czemprędzej podążyli do doliny Lys. Z jednej strony, chcąc skorzystać ze zniechęcenia robotników Armentières do guesdystów, ostro im wyrzucających przedwczesny strejk bez ich zezwolenia, a z drugiej by czemprędzej pokojowo zakończyć zatarg, zdołali bez trudu namówić strejkujących do przyjęcia propozycyi prefekta co do polubownego załatwienia sprawy razem z fabrykantami. Robotnicy wyrazili tylko życzenie, aby objęło ono również tkaczy z fabryk podmiejskich Armentières oraz robotników, zajętych w przędzalniach miejscowych. Jakież jednak było ich zdziwienie, gdy się dowiedzieli, że pracodawcy odmawiają polubownego załatwienia sprawy i wypierają się dawnych, solennych obietnic, dowodząc, że mówili wszystko z zastrzeżeniem „w razie zgody wszystkich innych fabryk tkackich.“ Zwrócono się więc o ratunek do deputowanych, do Izby. Dzięki wpływom, wymowie i oportunizmowi Jaurès'a cała niemal Izba (512 głosów przeciw 2) uchwaliła w niosek, w którym zaznacza, że liczy na rząd, iż ten ponowi stronom spornym propozycyę polubownego załatwienia sprawy. I to jednak nie wzruszyło milionowych fabrykantów z Armentières, odpowiedzieli znów odmownie prefektowi, dodając tylko, że gotowi jednorazowo, przy rozpoczęciu pracy wypłacić robotnikom tygodniową pensyę. Ofiara ta wynosi właściwie 5% zwyżki jakiej domagali się robotnicy i jaka przypada im od chwili obecnej do 1 kwietnia roku przyszłego, pomimo ilości zmniejszenia godzin pracy, ma ona jednak charakter jałmużny, a nie słusznie należnej zapłaty, została przeto na razie odrzuconą z dumą przez armentierskich tkaczy, którzy chcieli zerwać wszelkie nici możliwej zgody. Nędza jednak, jako też namowy deputowanych Lamendin'a, Jaurès'a, Basly'ego skłoniły ich do ustępstw; żądano tylko ścisłego stosowania taryfy z 1889 r. oraz wspólnej, mieszanej komisyi dla opracowania nowej taryfy, mającej obowiązywać od 1 kwietnia 1904 r. Wobec tych ustępstw ze strony robotników, delegaci fabrykantów wystosowali do prefekta list pojednawczy i obecnie uważać należy strejk tkaczy z Armentières za skończony.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Głos kaleki.

Jest to wypadkiem zupełnie naturalnym, że skoro tylko słońce poezyi weszło w znak rozstrojonej Liry, musiała u nas wzrosnąć cześć dla Słowackiego, która na jego mogile nietylko złożyła świeże wieńce chwały, ale nadto zabiła „sto wołów“ dla przebłagania ducha, obrażonego długoletnią niewiarą ciemnych prostaków w jego boską potęgę. Do najczynniejszych kapłanów tej odkupającej ofiary należy p. I. Matuszewski. Niedawno

spełnił on ją w osobnej książce: „Słowacki i nowa sztuka," obecnie powtarza znowu w zbiorze artykułów p. t. „Twórczość i twórcy." Jakkolwiek nie znalazłem w niej ani jednego wyrazu, upoważniającego mój gatunek czernicieli papieru do zabierania głosu w krytyce, a natomiast dostrzegłem wiele wskazówek odstręczających od tej śmiałości, pozwalam sobie na kilka uwag w imieniu kalek. Szanowny autor, zaznaczywszy, że liczba czcicieli twórcy „Króla Ducha" pomnożyła się dziś ogromnie, ale nie ogarnęła „serc i umysłów *bez wyjątku*," postanawia „poszukać przyczyny głębiej" i powiada: „Widocznie nie wszystkie żywioły twórczości Słowackiego przemawiają do wszystkich z jednakową siłą. Dla ludzi, pozbawionych słuchu muzykalnego, symfonia Beethovena lub opera Wagnera wydaje się dziwacznym, a często przykrym hałasem. Możliwym więc jest wypadek, że ludzie, na których pewne utwory Słowackiego (np. „Król Duch") sprawiają wrażenie bredni, zajmują wobec nich takie stanowisko, jakie wobec dzieł Wagnera i Beethovena zajmują słuchacze, pozbawieni zmysłu muzycznego. To nie zbrodnia, to *kalectwo*, z którem można się zgodzić, a nawet *współczuć*, którego jednak nie należy podnosić do godności *dogmatu* estetycznego." Chociaż uznanie w sobie jakiegoś kalectwa nie jest przyjemnem, wobec wszakże faktu, że ród człowieczy składa się przeważnie z okazów wybrakowanych, można łatwo oswoić się z taką lub inną ułomnością. Ale objaśnienie p. Matuszewskiego nie pomaga do takiej rezygnacyi. Bo jeśli ktoś zarówno w symfonii Beethovena, jak w operze Wagnera, jak w innych kompozycyach odczuwa tylko „przykry hałas," to rzeczywiście można wywnioskować, że nie posiada on „słuchu muzycznego." Jeśli wszakże ktoś drugi zachwyca się symfonią Beethovena, a nie znosi opery Wagnera — czy jest także kaleką? Pytanie to zajmuje mnie bardzo nietylko teoretycznie, ale i osobiście, gdyż właśnie znajduję się w tem smutnem i wątpliwem położeniu. Muzyka Mozarta, Beethovena, Rossiniego, Gounoda upaja mnie niewysłowioną rozkoszą, Schumana i Wagnera — drapie, rani, nuży, wystrasza zewsząd, gdziekolwiek ucha mojego dotknie. Tłomaczyłem to sobie w sposób prosty i zapewne niedorzeczny. Dlaczego niektóre a nie wszystkie szyby w kościołach pękają podczas silnej gry organowej? Czy dlatego, że jedne są kruche a drugie mocne? Bynajmniej. *Niektóre* z nich są tak nastrojone, że nie mogą wytrzymać *pewnych* brzmień i wtedy pękają. Otóż zdawało mi się, że każdy człowiek jest również nastrojony według jakiegoś tonu, z którym pewne rodzaje muzyki się godzą, a inne tworzą przykry rozdźwięk. Zdaje mi się nadto, że sztuka oprócz ogólnego stosunku do wszystkich ludzi wchodzi jeszcze w szczególne stosunki do pojedynczych osobników, zależne od ich natury i warunkujące stopień zadowolenia estetycznego. Można uznawać, że Schuman był znakomitym artystą, a mimo to nie zachwycać się jego utworami, jak można uznawać, że zapach tuberozy jest mocnym, a mimo to dla kogoś nieprzyjemnym.

Poezya Słowackiego pozostaje w blizkiem powinowactwie z muzyką ostrych rozdźwięków i wonią odurzających kwiatów—denerwuje i męczy. To też wszystkie dusze „kalekie," które nie potrzebują i nie mogą się narkotyzować, nie czerpią z niej tej wzmacniającej rozkoszy, co z utworów Mickiewicza. Ciągły tragizm, ciągłe używanie i nadużywanie najwyższych nut, ciągłe zgrzyty, jęki i złorzeczenia, ciągła jaskrawość barw — wszystko to męczy umysły wrażliwe. Wiem, że wobec ustalonego mniemania popełnię straszne bluźnierstwo, ale skoro już odważyłem się na spowiedź szczerą, więc wyznam, że Słowacki posiada w swym stylu daleko większą jednostajność, niż jego współzawodnik — „bóg z przeciwnego krańca."

Niedawno miesięcznik francuski *La Revue* ogłosił ciekawy rezultat badań nad rękopisami autorów znakomitych, z którego okazuje się, że oni nadzwyczaj skrupulatnie unikali powtarzania tych samych wyrazów w blizkich odstępach. Jeśli mnie pamięć przy wielokrotnem czytaniu dzieł Mickiewicza nie zawiodła, użył on tylko raz jeden tego samego porównania (sosen, które nagięte i puszczone tem bardziej się oddalają wierzchołkami). Tymczasem poezye Słowackiego przypominają nieraz owe kalejdoskopy, w których kilkanaście barwnych szkiełek za pokręceniem układa się w rozmaite figury. Biorę jego „Pisma pośmiertne," a więc te, o których nieuznaną wielkość upomina się p. Matuszewski, i przewracając karty, czytam na traf, jak oko padnie: „I czarnych oczu jasna błyskawica... wszystko w sercu mija lotem błyskawicy... któż miecz podniesie przed Pańską błyskawicą... a z duchów będzie chmura, w tej chmurze błyskanie... jeden z tych krzyków szumem nawalnym błyskawic uderzy... i przez bój wielki przez dział błyskawice... a wam wzroki wypalę przez błyskawice... tchnienie traci w błyskawicy... jutrzenkami i błyskaniem poprzek staniem... patrz na oczy pełne błyskawicy... ze łzą i wielką błyskawicą w oku... a gdzie Pan Bóg, a gdzie błyskawica?.. błysna jak krzywych mieczów błyskawice... a głowę nosi swą pod błyskawicą... twoje mi srebrne potrzebne błyskanie... w tej błyskawicy podniesionych ciosów.. za nim błyskawicą jechał J. Kazimierz... w błyskawicy ducha i złości... czasem go słychać w letniej błyskawicy... czyniąc winniejszy smutek w błyskawicach... tak że ją bierze chłop za błyskawicę... trzy błyskawice idą w górę... ta błyskawica, co nas w jednym czasie przenosi za grób... kolosy, krzyki, jęki, błyskawice... w jednem mnie tylko błyśnięciu widzieli... wpadłem jak wiatr, żarł jak błyskawica... ustała błyskawica ducha... noce w strasznych błyskawicach... we śnie bożym gadał z błyskawicą... oczy z błyskawic... z błyskawicy ludzie... z błyskawicami gniewu nad nim lata... błyskawicznego pełni w oczach piasku... skacze mu na piersi anioł błyskawicy... Pan Bóg w błyskawicach błyska... a wieki jako błyskawice świecą.... w światłach mrokach i w bły skach i krzykach... coś na karabinie, jak ogień łyskało... kłułem ją oczów moich błyskawicą... mnie ciągle moja w błyskawicach zmora unosi... widząc niepewne jakieś błyskawice... krzyżowały się jak dwie błyskawice" — itd. Podobny spis można ułożyć z gwiazd, tęczy, z klucza żórawi, z przymiotnika *złoty*, przystawianego do wszystkich przedmiotów, nawet do natury. Daremnie szukalibyśmy takich powtórzeń u Mickiewicza, u którego każdy zwrot, każda przenośnia, każdy obraz poetyczny jest unikatem.

A teraz owa zaprzeczana lub broniona ciemność Słowackiego, zwłaszcza w „Królu Duchu," który jest probierzem „kalectwa" estetycznego. Znowu wyznam szczerze: ile razy słyszę zarzut, że człowiek ukształcony, umiejący chwytać najsubtelniejsze odcienie myśli ludzkiej, „nie rozumie" jakiegoś utworu poetyckiego, który przecież nie zawiera w sobie bezdennej głębi filozoficznej, zawsze sądzę, że ów człowiek ma prawo uśmiechnąć się i wzruszyć ramionami. Bo przecież to chyba nie tak trudno, o ile zachowany został sens gramatyczny i logiczny. Owo więc „nierozumienie" prawdopodobnie pochodzi stąd, że różni ludzie w różnym stopniu stawiają swym głowom wymagania jasności. Są takie, które już rozumieją wtedy nawet, kiedy jeszcze nie rozumieją i te nie są kalekie. Jeżeli Mickiewicz powiada: „Kładę me dłonie na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach," albo Słowacki: „Bom tego ducha związaniem zmocował, wziąłem go za krtań i zasztyletował" — to pomimo że oba te zdania wyrażają niemożliwość przedmiotową, jako obrazy są dla nas jasne. Ale jeżeli Słowacki mówi w „Królu Duchu":

> Lepiejże teraz chłopkom, z pod kurhana
> Tamten srogi duch wygląda czerwony,
> Który był *jak bicz i gwiazda rumiana*
> *I miecz* przez duchy boże zapalony,
> Niż ten... niewiastka ślepotą związana
> Błyskotnik jakiś w ciemnościach zielony,
> Dziecko, które gdzieś widziało miesiące,
> Ślepe jak żebrak — a przerażające.

Wierszy tych wcale nie rozumiem. W tem nierozumieniu zaś nie chodzi mi o zagadkowość rzeczową, ale o zczepienie wyrazów, nietworzących ani zrozumiałego związku, ani też obrazu. Jestże to kalectwo? Co najwyżej chyba niezdolność widzenia w nocy. A przypuściwszy nawet, że istnieją w dziedzinie sztuki myszołowy krytyczne, nieznoszące pełnego światła i gołębie krytyczne, ślepe w ciemności, to jeszcze nie racya twierdzić, że gołębie są kalekami wobec myszołowów, jak nie można utrzymywać, że kwiaty, które zamykają swe kielichy w słońcu a otwierają w mroku, są doskonalsze od tych, które czynią przeciwnie.

Nie chciałbym, aby mnie posądzono o chęć zmniejszenia w najdrobniejszej mierze wielkości takiego olbrzyma, jak Słowacki. W poezyi naszej jest to mocarz, w jego dziełach są utwory, a w jego pieśniach strofy nadzwyczajnej siły i wdzięku. Ale zdaje mi się, że niepotrzebnie z jego słabizn, które nawet takich tytanów się czepiają, zrobiono „dogmat estetyczny." A jeżeli p. Matuszewski zamierzył „szukać głębiej przyczyny" przedtem zmniejszonej a obecnie rozszerzonej czci dla twórcy „Króla Ducha," to powinien był sięgnąć jeszcze głębiej, a możeby znalazł coś innego, niż „kalectwo."

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

ZDOLNOŚĆ ROZWOJU ludów pierwotnych.

(Dokończenie).

Twierdzenie, że między końcowymi ogniwami jednej grupy językowej lub rasy istnieją większe różnice kulturalne, niż między rasami wziętemi jako całość, daje się z największą dokładnością udowodnić. Głębie stepów Afryki środkowej zamieszkuje ludność, mówiąca dyalektem irańskim. Japońscy Ajnowie, których pokrewieństwo z najczystszą rasą europejską według Baelza jest wysoce prawdopodobne, są u Japończyków w pogardzie, jako lud dziki i barbarzyński. Albańczycy, Kurdowie i inne ludy, należące do rasy białej, stoją z pewnością o wiele niżej od niejednego plemienia murzyńskiego lub mongolskiego. Jakaż niezmierna przepaść dzieli zachodnich Finnów i Madziarów z jednej, a koczujące plemiona fińskie Syberyi, Samojedów lub Ostjaków z drugiej strony.

Zajmujący przedstawia widok zakłopotanie wiernych adeptów teoryi o rasach „niższych" i „wyższych," gdy twierdzeniom ich przeciwstawia ktoś zdobycze kulturalne naszych mongolskich kuzynów. Wystarczy przypomnieć bezgranicznie głupi sąd Chamberlain'a o Chińczykach. Ale nawet tak ostrożny przedstawiciel tego kierunku, jak Woltman, nie zawahał się

napisać: „wśród Mongołów, tylko niektóre plemiona osiągnęły pierwszy (!) stopień cywilizacyi.“ A na innem miejscu powiada: „możemy tylko powtórzyć, że z punktu widzenia antropologii politycznej potępiamy wszelkie krzyżowanie się rasy kaukaskiej z murzynami i że nawet mieszanie się z typem alpejskim i śródziemnomorskim należy uważać za szkodliwe.“ Ostatnie twierdzenie strąca całe południowe Niemcy, kraje morza Śródziemnego, Francyę, Niederlandy i Austryę w bagnisko bezrasowego barbarzyństwa. Naturalnie, że teoretycy rasowości podciągają pod pojęcie Mongoł nietylko Chińczyków (którzy ściślej rzecz biorąc ani językowego, ani żadnego innego pokrewieństwa z nimi nie mają), ale i wszystkich Mongołoidów. Ciekawą i zasługującą na uwagę jest pod tym względem świeżo wyszła praca wybitnego fachowca, Henryka Winklera [1]), któremu niemiecki patryotyzm podsunął dosadne słowa na odparcie madziarskiego szowinizmu. A przecież sąd jego brzmi: „jeśli ludy fińskie dotąd jeszcze nie wyszły z pierwotnych stosunków, cechujących pasterzy i rolników, przypisać to należy naturalnym warunkom zamieszkanej przez nich ziemi, nie zaś nizkiemu ich uzdolnieniu. Kto tylko ma sposobność żyć wśród ludów fińskich i porównać je z indo-germańskimi sąsiadami ten chyba zerwie z wielce rozszerzoną, ale nie mniej przeto niesłuszną indogermańską zarozumiałością. Gdzie tylko ludom germańskim danem było znaleźć się wśród korzystnych warunków, tam porównanie — i to w sposób, dający wiele do myślenia — wypada zazwyczaj na ich korzyść. Że Suomifinnowie, tj. ludność Finlandii, jak i Madziarowie są narodem kulturalnym, przyzna każdy, kto te ludy w ich własnej ojczyznie miał sposobność poznać. Życie umysłowe Finlandyi stoi pod każdym względem na równym poziomie z najlepszymi przedstawicielami indogermańskiej rasy, urządzenia wewnętrzne i żywy ruch umysłowy odróżniają ją od sąsiadów. Finlandczycy umieją sprostać nietylko wszelkim kulturalnym zadaniom nowoczesnego życia na polu technicznem, naukowem i społecznem, ale również mają odczucie pięknej formy i sztuki w ogólności. Melodya i barwa wśród całej fińskiej rasy odczuwane są pełnią wesołego serca i duszy, wrażliwej na każde prawdziwe piękno w krainie poezyi, dźwięków i linij (str. 98 i 99).

Prawie wszystkie sądy zwolenników teoryi rasowości o Chinach świadczą o zupełnej nieznajomości stosunków. Mówi się często o „małej ruchliwości“ chińskiej rasy, a przecież żaden kraj świata nie ulegał tak częstym przewrotom. A jeżli tempo postępu w ostatniem stuleciu w Chinach opóźniło się nieco, to w niemałej części przyczyniło się do tego — opium. Jakżeż mógłby Chińczyk rzekomo „trzeźwy“ i „bezduszny“ (Chamberlain) stworzyć ową sztukę, świadczącą o tak bujnej fantazyi. [2])

Twierdzenie o „przyrodzonej“ zdolności chińskiego robotnika do poprzestawania na małem, w imię której wzywa się Europę do obrony przed groźnem współzawodnictwem przez — zniżanie płac, okazało się już dawno wierutną bajką. A nawet ów warkocz, symbol zaciekłego konserwatyzmu, jest stosunkowo świeżej daty. Chińczycy go nieznali, a w r. 1644 Mandżurowie wprowadzili zwyczaj warkocza i golenia wierzchniej części głowy, na znak młodo-chińskiej lojalności. Ścinanie warkocza uchodzi od tego czasu za oznakę przekonań przewrotowych.

Pojęcia, które uważamy za chlubną zdobycz lat ostatnich wprowadzone zostały w Chinach przed tysiącami lat. W r. 134 przed Chr. nakazał cesarz Wu-Di, by we wszystkich prowincyach wybierano i przyciągano do służby państwowej mężów, odznaczających się cnotą i uczonością. Pod Wang-Mangiem (6—23 po Chr.) zniesioną została niewola, w roku 517 ofiarne bicie bydła. Od najdawniejszych czasów panuje tu zupełna tolerancya w kwestyach religijnych w porównaniu z Europą zdumiewająca wolność słowa. Również starem jest tu pojęcie, że panujący jest sługą publicznego dobra. Przytaczamy tylko zdobycze natury moralnej, Chamberlain parokrotnie zaznacza, że kultura polega na wysubtelnieniu umysłu i czucia, nie zaś na przyswajaniu sobie pożytecznych zręczności. Czemu Chiny, mimo zaznajamiania się z rozlicznymi, nowymi wynalazkami, nie rozwinęły się według naszego wzoru pod względem techniczno-gospodarczym, tłumaczy Babington w sposób przekonywający. [1]) O zdolnościach Chińczyków do zupełnego wchłonięcia w siebie ducha europejskiego świadczy wielu z pośród żyjących w Europie i Ameryce dyplomatów. Poseł Wutingfang w Waszyngtonie dorównywa świetnością swego pióra naszym najlepszym literatom, generał Tscheng-Ki-Tong, który spędził długie lata w Paryżu, wydał nader pouczającą książkę o Chinach, pisaną z takim wdziękiem i subtelnym humorem, jakim z pomiędzy europejskich jego kolegów mało który zapewnie poszczycić się może.

Fałszywe wartościowanie, które napotykamy u teoretyków rasowości w sądzeniu ras obcych, ma źródło w równie fałszywem ocenianiu własnej. Tylko człowiekowi, żyjące mu w zupełnej nieznajomości rzeczywistego świata, przebaczyć można myśl niedorzeczną, że np. Kant lub Goethe, są duchami przedstawicielami „narodu niemieckiego.“ Ciągle jeszcze najpierwotniejsze formy religijnego wierzenia, fetyszyzm, totemizm i kult przodków, osłonięte z lekka pokostem chrześciańskim, stanowią ważny czynnik w odczuwaniu przeważającej większości ludów cywilizowanych Europy [2]), ciągle jeszcze w protestanckich i katolickich krajach ludność wiejska uważa duchownych za czarowników, którzy pogodę i chorobę równie dobrze zaklinać umieją, jak afrykański znachor. Ten sposób myślenia napotkać można nietylko u „niewykształconych.“ Przed paroma miesiącami musiały nadworne teatra wiedeńskie, zwiedzane zapewnie nietylko przez proletaryat, zmienić numer 13 loży, a według gazeciarskich notatek, w piątki niektóre pociągi luksusowe tak źle bywały obsadzone, że zaczęto z góry liczyć się ze słabszem zapotrzebowaniem dnia feralnego. Wszystkie prawie, śmieszące nas rysy w psychologii dzikiego można odnaleźć bodaj w szczątkowej formie w naszych zwyczajach i poglądach, na co Spencer mnóstwo dowodów nagromadził. Ludożerstwo ludów pierwotnych wypływa nietyle z chęci łechtania delikatnym smakiem podniebienia, ile z przesądnego mniemania, że jest to niezawodny sposób nabycia odwagi, siły i innych przymiotów spożytego. Jeszcze w 1892 r. w Rosyi, w wiosce Stary-Multan (30 mil od Kazania) chłopi, na cześć dawnegoboga Kurbana, zabili jednego ze swoich, spożyli jego serce i płuca. W uroczystości ofiarnej brał udział wójt i inni dygnitarze wioskowi. Ten czyn wydawał się biesiadnikom tak mało karygodnym, że się z nim w cale nie kryli. Gebhardi pisał w r. 1783: picie krwi nawet w naszych czasach nie jest znamieniem barbarzyństwa, bo często epileptycy otrzymują pozwolenie przypatrywania się egzekucyi i picia ciepłej jeszcze krwi straconego. W r. 1861 przy traceniu mordercy w Hanau wielu ludzi rzuciło się na krwawe rusztowanie i piło skwapliwie dymiącą krew. Jeszcze przed paru laty wyznał pewien morderca, w Szwajcaryi, że popełnił zbrodnię by napić się krwi swej ofiary, jako lekarstwa przeciw padaczce. Mamy zresztą sporo przykładów, że Europejczycy wszelkiej narodowości zupełnie zdziczeli i stali się kanibalami. Jeden z nich, Karol Savage, nabył takiej wprawy w ludożerstwie, że prześcignął nawet ludność tubylczą. Prócz tego z takiem wyrafinowaniem oddawał się wszelkim występkom świata cywilizowanego, że obrzydł w końcu nawet dzikim; więc się go pozbyli przez zjedzenie.

Nowoczesne ludoznawstwo uznaje tylko twierdzenie, że rozwój danego ludu zależy od zewnętrznych warunków, nie zaś od właściwości rasowych. Już Aleksander Humboldt, badacz-przyrodnik, nieprześcigniony dotychczas, a może i w przyszłości, postawił zasadę: „istnieją podatniejsze do kształcenia, wykształceńsze, uszlachetnione umysłową kulturą, ale nie istnieją szlachetniejsze plemiona,“ Jeden z najwybitniejszych lingwistów i etnografów F. Muller orzekł: „rasa jest frazesem bez treści, czystem oszustwem;“ znakomity prawnik Rudolf Ihering przychodzi do wniosku: „przyroda wyposażyła wszystkie ludy jednakowo,“ a w końcu powiada apodyktycznie: „ziemia to lud.“ Zamienieni w kolebce—stalibyśmy się Semici Aryjczykami, a Aryjczycy Semitami. Geograf Ratzel, w obecnej chwili niezaprzeczenie największa powaga w dziedzinie ludoznawstwa, podziela to zdanie: „w rzeczy samej, głębokość i szerokość przepaści cywilizacyjnej, dzielącej dwie grupy ludzkie, jest zupełnie niezależna od różnicy uzdolnienia. — I tak w świetle wyników rozlicznych gałęzi wiedzy i studyów, na których najwybitniejsi ich przedstawiciele strawili życie, niedorzeczna wiara w „rasę“ znajduje zgodne potępienie.

Dr. Fryderyk Hertz.

[1]) Henryk Winkler: „Skizzen aus dem Volkerleben,“ 1903 (o Finnach i Madziarach).

[2]) Piękną pracę daje nam o tem Henri Borel; „Weisheit und Schönheit aus China,“ aus dem Holländischen, übersetzt von E. Keller-Soden (Handels Verlag).

[1]) Wiliam Dalton Babington: „Fallacies of Race Theories,“ 1895, pag. 249—277.

[2]) Por. Spencer, Rochholz, Andrian, Robinson. Jacob Robinson: „Psychologia ludów pierwotnych,“ str. 69.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wilhelm Feldman: *Cień*, dramat w 3 aktach.

„Niema rąk tak delikatnych, aby w cudzem sercu mogły gospodarować“— mówi bohaterka dramatu p. Feldmana w swej rozmowie-męczarni, rozmowie-udręczeniu i torturze — z rzekomym Don Kiszotem uczciwości i prawdy, jakim w akcie pierwszym wydaje się z początku „przyjaciel“ jej narzeczonego, Aleksander. Przekonywamy się prędko, że jest on tylko nader szkodliwym pospolitakiem i daltonistą, patrzącym na świat i duszę ludzką przez pryzmat zawodnej i wątłej teoryjki, jednym z tych, do których jeszcze Hamlet skierował swe zapytanie: „Czyż myślisz, że łatwiej jest grać na mnie, niż na flecie?“ Ile dusz ludzkich, tyle miar — pewnik to tak ustalony, że doprawdy ów moralista, przybywający z Wiednia czy z księżyca na ślub niewidzianego od lat wielu przyjaciela i ordynarną swą ręką rozdzierający odrazu zasklepione już rany Janiny, wydać się może jakimś workiem, wypchanym martwemi trocinami teoryj i zasad, jakąś sztuczną sprężyną utworu scenicznego a nie żywym i wrażliwym człowiekiem, zdolnym sięgnąć wzrokiem w głąb płonącego uczucie serca i odczuć jego drgnienia subtelniejsze.

Wrażenia tego, na szczęście, doznajemy tylko w akcie pierwszym. Niezręcznie i nieartystycznie zawiązana sztuka budzi jednak od pierwszej chwili zajęcie i rozwija się w dalszym ciągu w głęboki, zwarty, konsekwentny i subtelny dramat samotnej duszy kobiecej, dla której śmierć staje się jedynem wyjściem z zaczarowanego koła cierpień i zawodów, jedyną ucieczką przed wielorakim bólem, który szponami swymi sięgnął aż do samego dna jej serca. Punkt ciężkości utworu, który zrazu zdaje się leżeć w napół mistycznych zagadnieniach, dotyczących oddziaływania cieniów zmarłych na świat żywych, przenosi się prędko — może wbrew pierwotnym zamiarom autora — na grunt realniejszy. Bo nieprawdą jest, aby Janinę, odbierającą sobie życie na chwilę przed ślubem z rozumnym niby i szlachetnym doktorem Michałem, „pochłonął,“ wedle słów Aleksandra, wywołany przezeń listami i opowiadaniem, cień wymarzonego a tajemniczego kochanka pierwszych dni jej młodości, zmarłego przed paru laty, gdzieś w górach, śmiercią przypadkową i tragiczną. Z grobem tym załatwiła się ona już dawno, cień ten opłakała najczystszemi łzami swego serca — i słusznie zupełnie odpowiada Aleksandrowi, że niemożliwem jest, aby „cień święty, cień błękitny, który tylko ze skrzydłami u ramion wyobrazić sobie można,“ miał się zmienić w demona, rzucającego się na człowieka, ssącego jego krew i wlokącego go w krainę ciemności. A zresztą, pomijając już nawet to, że umierający Leon jeszcze w ostatnich chwilach przytomności przekazywał jej życzenia szczęścia, wszak na grób jego tyle łez spadło i krwi serdecznej, że z niemi poprostu dusza wypłynęła... jedno życie wśród bólów i mąk zamknęło swe istnienie i dopiero powoli, powoli na tych gruzach „urodził się człowiek nowy, wykąpany w wielkim bólu, patrzący na świat przez smutną świadomość poprzedniej egzystencyi, wyższy i silniejszy, niż ów poprzedni...“

Człowiekowi takiemu, naturalnie, może należeć się jeszcze w życiu choć odrobina szczęścia, a jeśli odepchnięty zostanie od jego czary, wtrącony w otchłań rozpaczy i śmierci, to stanie się to napewno nie za sprawą cieniów zmarłych, lecz spowodowane będzie przez innych, stokroć straszniejszych demonów, którzy się nazywają — *ludźmi*. Nie mówi tego wyraźnie autor, ale to właśnie wypływa logicznie z treści jego dramatu. Z takich demonów, popychających bezwiednie bohaterkę jego do śmierci samobójczej, składa się jej otoczenie najbliższe. Gorliwy przyjaciel narzeczonego, dręczący ją wspomnieniami strasznemi; narzeczony — uosobienie szlachetności i cnoty drobnomieszczańskiej, niemogący się pogodzić z myślą, że ta, którą on kocha i ma zaślubić, kochała przed nim innego, że nie on właśnie, „szlachetny“ doktór Michał, otrzyma pierwsze jej uściski... Nędzna w gruncie rzeczy pretensya u przeszło czterdziestoletniego mężczyzny, który sam w żaden sposób nie mógłby zapewne stać się dla nikogo ideałem — dziewictwa i „czystości“! A dalej dwie zacne matrony, a zwłaszcza matka Janiny, taki inny, taki całkiem odmienny świat, do którego powrót stałby się już dla niej niemożliwy zgoła, gdyby nawet poprzestała tylko na zerwaniu w ostatniej chwili z Michałem, bez targnięcia się na swoje życie.

Główną rolę w szeregu tych drobnych, nędznych a tak prawdziwych „demonów“ życia — odgrywa jednak sam narzeczony, ten właśnie „porządny“ i „szlachetny“ pan Michał, którego Janina stawia tak wysoko, którego kocha (dowodem choćby ów okrzyk: „Michale, Michale mój!“ w akcie pierwszym) i na którym się zawodzi najsrożej. Pierwsze jej szczęśliwe i tak nieszczęsne zarazem uczucie miało początkowo dla niego, jak i dla wszystkich, pozostać tajemnicą zupełną. „Z chwilą, kiedy człowiek pewną sprawę ze sobą samym już załatwił, z tą chwilą jest ona *moralnie* już załatwioną.“ Lecz pod wpływem Aleksandra, który tajemnicę tę posiadł przed laty, jako przypadkowy świadek śmierci Leona, Janina decyduje się, po długiej walce wewnętrznej, wyznać wszystko Michałowi, i w odpowiedzi na tę „spowiedź przedślubną“ słyszy z ust jego wyrazy, które poprostu w całej jej naturze wywołują protest i bunt. Ona — „skalana,“ „splamiona,“ ma zapomnieć o *błędzie* młodości, a potem już tylko — pocałunki i pragnienia nędzne, zwierzęce... Cała jej duma obrażona, zbeszczeszczony ideał miłości, tej pierwszej najpiękniejszej, może jedynej w życiu prawdziwej miłości, wybucha wspaniale w ostatniej rozmowie z Aleksandrem, przy końcu aktu drugiego: „To, co było dumą, radością, wezbraniem najsilniejszych, najsłodszych źródeł serca, konieczność ukrywa głęboko, na samem dnie serca ukrywa. Co było słońcem cudownem — cieniem się staje, cieniem czarnym, wlokącym się po ziemi... Co było świętem dla ducha, anielstwem, wniebowzięciem staje się błędem... skalaniem, zbrodnią, której nienawidzić trzeba, wstydzić się, wyrzekać... Przyjdzie czas, kiedy człowiek swemu bóstwu urągać będzie, plwać na nie będzie — człowiek syty, zadowolony, porządny, szanowany...“

Tej chwili właśnie dożyć nie chciała i nie mogła bohaterka p. Feldmana. Pierwsze zamarłe już uczucie odżyło w niej z całą potęgą, doprowadzoną do szczytu w drugiej z dwóch prześlicznych scen odczytywania listów dawnych. Akt trzeci jest krótki, a osnowa jego nietrudna do przewidzenia. Odsłoniono nawzajem karty, przeniknięto się do głębi duszy, i narzeczona „porządnego,“ „szlachetnego“ pana Michała poczuła wówczas w całej pełni — przed życiem, nie przed śmiercią trwogę — i przed życiem takiem, jakie ją z nim czekać mogło, w atmosferze, która w tych warunkach wytworzyć się miała na stałe — wolała się schronić do grobu.

Główną postać zajmującego dramatu p. Feldmana odtworzyła znakomicie p. Sieniaszkowa. We wszystkich zwłaszcza scenach aktu drugiego była ona wprost niezrównana. Wykonanie innych, co prawda mniej wdzięcznych ról (pp. Niewiarowska, Ostrowska, Nowicki i Żelazowski), nie stojąc na tym wysokim poziomie, było naogół zupełnie dobre, lecz przypominało zanadto dawniejsze postaci tych samych artystów, co np. p. Żelazowskiemu zdarza się może zbyt często.

Wł. Bukowiński.

NOWE KSIĄŻKI.

(Pamiętniki).

Są to zawsze, o ile tendencyą niezamącone, bardzo ciekawe i cenne źródła. Prawdomówny, naoczny świadek wypadków dostarcza historyi materyału, którego ona skądinąd poczerpnąć nie może. W ostatnich miesiącach wydano kilka książek tej kategoryi.

Pamiętnik generała Jana Weyssenhofa, ogłoszony przez Józefa (Gebethner i Wolff, str. 250). Obejmuje on długą i bogatą w zdarzenia epokę od sejmu czteroletniego do rewolucyi listopadowej włącznie. Chociaż przeznaczony dla rodziny, zawarł w sobie jednak tyle faktów i uwag ogólnego znaczenia, że potomek autora słusznie uczynił, upowszechniając go drukiem. Generał nie posiadał wybitnych zdolności literackich, ale posiadał dużo krytycyzmu i ścisłości w opowiadaniu, którego wątek snuje się przeważnie ze zdarzeń wojskowych.

Szlakiem legionów — z pamiętników generała D. Chłapowskiego (Gebethner i Wolff, 2 t. str: 278 i 129). Mamy prawie ten sam okres dziejów, co w pamiętniku poprzednim. Jak tamten również, jest on generalskim, tj. zajmuje się niemal wyłącznie sprawami wojskowemi i dla nich tylko jest przyczynkiem ważnym.

Antoni Białkowski: **Pamiętniki starego żołnierza**, wydał W. Tokarz (Gebethner i Wolff, str. 500). Bez wielkiej krzywdy dla nauki pamiętniki te mogły były pozostać w rękopisie. Bo naprzód ich autor był umysłem dość ograniczonym i wszystkie wypadki oceniał ze stanowiska osobistego, nie sięgając wzrokiem po za widnokrąg oddziału wojska, w którym służył i celu, do którego w swej karyerze dążył. Powtóre, spisując swoje wspomnienia w starości, w 40 lat po wypadkach, popełnił tyle omyłek, że wydawca musi je ustawicznie prostować. Rzeczywistą więc wartość mają tylko, dość zresztą nieliczne, obrazki obyczajowe, w których nie chodzi o dokładność, lecz o ogólne znamiona czasu.

KRONIKA.

— W Białymstoku ogłoszono następujące rozporządzenie gubernatora grodzieńskiego: „Od kilkunastu dni, niektórzy robotnicy fabryczni zaprzestają pracy bez przyczyny prawnej, przytem zeznają, iż jacyś ludzie postronni grożą im wyrządzeniem krzywdy, w razie oporu. Wobec tego polecam robotnikom fabrycznym Białegostoku nie słuchać złych ludzi, lecz spokojnie pracować dalej. Ogłaszam, iż przedsiewziąłem wszelkie środki ku zapewnieniu bezpieczeństwa robotnikom, pragnącym uczciwie i spokojnie pracować. Wszystkie zaś osobistości, które pozwalają sobie na groźby, gwałty, wdzieranie się do fabryk i zbiegowiska zakazane, w celu zmuszenia innych do zaprzestania pracy, będą pociągnięte do najsurowszej odpowiedzialności karnej.“

— Generał-gubernator wileński wydał rozporządzenie, zabraniające wszelkich zebrań, narad, brania udziału w gwałtach i zaburzeniach, noszenia broni, rozpowszechniania fałszywych pogłosek, przyswajania sobie cudzych nazwisk i tytułów. Winni podlegać będą, niezależnie od odpowiedzialności sądowej, areszt owi do trzech miesięcy lub karze pieniężnej do wysokości 500 rb. Rozporządzenie to zaczęło obowiązywać od dnia 17 b. m.

Wiadomości społeczne. W *Kur. Warsz.* czytamy: Właściciele kantorów bankierskich w Warszawie postanowili, za wzajemnem porozumieniem, skrócić u siebie dzień pracy o 1 godzinę, tj. zamykać kantory zamiast o godzinie 7 — o 6 wiecz., znosząc dotychczasową przerwę w porze obiadowej. Pracownicy kantorów bankierskich są bardzo niezadowoleni z tego postanowienia, ponieważ na obiad dawano im dotąd 2 godziny; chociaż więc czynności biurowe kończyć się mają o godzinę wcześniej, faktycznie jednak czas pracy przedłużono o godzinę.

— Pozwolono na przyjmowanie uczennic do aptek z obsługą męzką, z tem jednak zastrzeżeniem, aby były przychodnie i odbywały praktykę wyłącznie w ciągu dnia.

— Od d. 14 b. m. wprowadzono opłatę 5 rublową na dochód Czerwonego Krzyża od wizy paszportów obcych poddanych, wyjeżdżających za granicę.

— Ks. Włodzimierz Drucki-Lubecki, obywatel ziemski z gub. Wileńskiej, ofiarował 115 dziesięcin gruntu i 40,000 rb. na założenie niższej szkoły rolniczej, której utworzeniem ma się zająć wileńskie Towarzystwo rolnicze.

— W Mohylowie wzmogła się emigracya rzemieślników-Żydów do Ameryki.

— Pełnomocnik p. Ig. Mossakowskiego, obywatela z Wołynia, prostując wiadomość, rozgłoszoną przez pisma galicyjskie, objaśnia, że zapisodawca nie ofiarował całego majątku na fundusz stypendyalny, lecz tylko kapitały i nieruchomości znajdujące się w Galicyi, których wartość wynosi około 2 milionów koron.

— W Paryżu aresztowano 13 kokiet, należących do międzynarodowej szajki handlu dziewczętami.

Z Poznańskiego. Policya pruska aresztowała powtórnie przybyłego do Poznania p. Kazimierza Krzyżanowskiego i odstawiła go do granicy austryackiej, grożąc, że jeżeli znów powróci, będzie uwięziony.

Szkoły i wychowanie. Podwyższono do 60 rb. rocznie opłatę szkolną w III gimnazyum męzkiem w Warszawie.

— Obowiązujący, trzyletni okres odbywania praktyki na pomocnika aptekarskiego skrócony został do lat dwóch dla tych uczniów, którzy ukończyli gimnazyum. Obecnie urzędy lekarskie otrzymały zawiadomienie, że przepis ten ulgowy, rozciągnięty także został na uczennice aptekarskie, te mianowicie, które ukończyły kurs gimnazyalny i złożyły egzamin dodatkowy ze znajomości języka łacińskiego, z kursu 4-ch klas.

— *Prawit. Wiest.* (nr. 245) ogłosił rozkaz Najwyższy, na mocy którego studenci wszystkich uniwersytetów, liceum Cesarzewicza Mikołaja w Moskwie i liceum Demidowa w Jarosławiu, zamiast kurtek z sukna popielatego mają nosić kurtki z sukna czarnego, przyczem wolno będzie w kurtce czarnej przedstawiać się zwierzchności wyższych zakładów naukowych i bywać na zebraniach publicznych, jeżeli nie nastąpi uprzednie zawiadomienie o konieczności surduta lub munduru. Z mocy nowego rozporządzenia surdut lub mundur ma być obowiązkowo przywdziewany tylko w dwóch razach: na nabożeństwa w dni galowe, na uroczystości w uniwersytecie lub innych zakładach naukowych.

— W gmachu uniwersytetu lwowskiego rozpoczęły się wykłady gospodarstwa wiejskiego dla kobiet.

Wiadomości naukowe. Kasa Mianowskiego w wykonaniu woli Z. Pileckiego, lekarza, który zapisał fundusz wieczysty, z przeznaczeniem procentów na coroczne wynagrodzenie autorów prac, ku pożytkowi ogólnemu drukiem ogłoszonych, z dziedziny dziejów narodu polskiego, jego języka, literatury i prawa, jak również matematyki i nauk przyrodniczych, mając do rozporządzenia sumę 759 rb. 24 kop. z procentów za rok 1902 — przyznała p. Piotrowi Chmielowskiemu nagrodę w sumie 550 rb. za pracę p. t.: „Dzieje krytyki literackiej w Polsce“ i 2) p. Alfonsowi Loewenbergowi nagrodę w sumię 209 rb. 24 kop. za pracę „Geometrya rzutowa.“

Literatura i prasa. Pozwolono na wydawanie zawieszonej gazety *Ural*.

Ze sztuki. W Salonie Krywulta otworzono wystawę akwarel i pasteli, urządzoną staraniem Towarzystwa artystycznego.

— W lutym r. 1904, w salach Muzeum barona Stieglitza w Petersburgu, będzie urządzona wystawa historyczna sztuki stosowanej, mianowicie jubilerszczyzny, zegarów, wyrobów emaliowanych, miniatur, kamei, gemm, wachlarzy, bronzów, przedmiotów marmurowych i kamiennych (z wyjątkiem posągów), szklanych, porcelanowych, gobelinów, koronek, wyrobów artystycznych z drzewa, skóry, itp.

— W austryackim oddziale sztuki na wystawie międzynarodowej w St. Louis urządzona będzie osobna sala sztuki polskiej i czeskiej. Do urządzenia sekcyi polskiej powołani zostali artyści: Fałat, Mehoffer, Axentowicz i Stanisławski.

Zdrowie publiczne. Dr. Marmorek, który wystąpił z Instytutu Pasteura, miał odczyt w Akademii paryskiej o wynalezionym przez siebie nowym środku przeciwgruźliczym. Zdaje się jednak, że to jest wiadomość przedwczesna, badanie bowiem nie dało wyników rozstrzygających a potwierdzających doświadczeń klinicznych i szpitalnych brak zupełnie.

Z muzyki. Na konkursie ogłoszonym przez redakcyę paryskiego *Musica* pierwszą nagrodę za utwór koncertowy na fortepian, oraz drugą za pieśń przyznano Polce, pannie Wandzie Landowskiej.

Sprawy ekonomiczne. W gub. Kieleckiej, we wsi Polesiu, utworzono spółkę włościańską p. n. „Jedność,“ do której przystąpiło 25 członków z udziałami 10-rublowymi.

— Zatwierdzono ustawę drugiego Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego w Zamościu oraz przemysłowo-handlowego wzajemnego kredytu w Łodzi.

Koleje i komunikacye. Na kolei Warszawsko-Petersburskiej, na oddziale Warszawa-Łapy, wprowadzono podmiejską taryfę osobową.

Poczta. Od dnia 14 stycznia 1904 wręczanie przekazów telegraficznych odbywać się będzie bezpośrednio adresatom do mieszkania, przez umyślnych posłańców. Opłata od każdego przekazu wynosić ma 10 kop. Jeżeli posłaniec nie zastanie adresata w domu, obowiązany będzie zostawić mu awizacyę, na mocy której pieniądze mogą być odebrane z biura pocztowego lub, na życzenie adresata, przyniesione mu do mieszkania, w którym to razie opłata za pierwsze doręczenie nie będzie pobierana. Pieniądze z przekazów, otrzymanych przez pocztę do godz. 5 po poł., doręczane będą tegoż dnia, otrzymane zaś po godzinie 5 — dnia następnego, o godz. 8 rano. Terminy te mogą być zmieniane przez władze pocztowe, stosownie do warunków miejscowych.

— Od Nowego Roku urzędy pocztowo-telegraficzne będą przyjmowały przekazy i posyłki za zaliczeniem do 500 rb. podług opłaty dotychczasowej, za przekazy zaś telegraficzne pod adresem jednej osoby, do wysokości 500 rb., pobierana będzie opłata, jak za depeszę 25-wyrazową.

Katastrofy. Na kolei Chicago-St. Louis, w okolicy Tremontu, st. Illinois, wpadły na siebie dwa pociągi — 32 osoby zabite, bardzo dużo ranionych.

Zmarli. Hipolit Jewniewicz, b. dziekan i profesor instytutu technologicznego, elektrotechnicznego, inżynierów cywilnych i akademii oficerów morskich w Petersburgu.

— Kamil Pissarro, francuski malarz-impresyonista, w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kresowi. Drukować nie będziemy.

P. St. Sch. z Tarnowa. „Zaduszki“ nie dla nas.

Panu L. Knol w Petersburgu. Wszystkie utwory Wyspiańskiego: „Wyzwolenie,“ „Bolesław Śmiały,“ „Wesele,“ „Kazimierz Wielki,“ „Klątwa“; z czasopism: „Chimera,“ „Ateneum“; z dzieł poważnych rozważają ten kierunek Ig. Matuszewski „Słowacki i nowa sztuka,“ „Twórczość i twórcy,“ W. Feldman: „Współczesna literatura polska.“

OGŁOSZENIA.

Pamiętnik NAGIEJ PRAWDY.

Naga Prawda, stojąc między nami na marmurowym słupku, opowiada:

Duch mój tęskni do oblekania się w ciało.

Wczoraj trzech adwokatów wrzuciło mnie do Wisły z kamieniem młyńskim u szyi. Ryby sznur przecięły — wypłynęłam. Nad brzegiem stał Kato Utyka-jący, który wołał: „Pomogę ci wyratować się, jeśli milczeć będziesz o tem, że Warszawa niema ani jednego kieliszka prawdziwego araku, a ja go sprzedaję beczkami.“ Nie zgodziłam się: „To odziej się przynajmniej, przeklęta jędzo, jakim łachmanem, ażebyś całą nagością nie właziła ludziom w oczy.“ Plunąwszy na mnie, odszedł. Wydobyłam się na ląd sama i ażeby odpocząć, zdjęłam ciało.

Idąc Powiślem ku miastu, spotkałam dwóch nożowników. Jeden przebił ze śmiechem ramię jakiejś dziewczyny i uchyliwszy czapki, rzekł: „Rekomenduję się.“ Ciekawa jestem, kto tych artystów tak źle wychowuje? Podobno całe społeczeństwo, które należałoby, pociągnąć do odpowiedzialności.

Po ulicy Browarnej błąkał się jakiś chłopczyk. Nie rozumiem, dlaczego odnajdywaniem zaginionych dzieci nie zajmie się Towarzystwo Ogrodnicze, które, porzuciwszy swój pierwotny cel i zaprzestawszy handlu placami, ma najwięcej czasu do takich poszukiwań? Mogłoby nawet małe sieroty rozlosowywać między swych bezpłodnych członków, zamiast doniczek z kwiatami.

Minął mnie p. Z. Noskowski w dorożce. Oto jest człowiek, który nie ma przyjaciół, gdyż oni z pewnością poradziliby mu, ażeby tworzył uczył, dyrygował, ale nie pisał nigdy fejletonów, w których usiłuje być dowcipnym.

Za nim jechał p. S. Posner z ogromnym wieńcem „z samych nieśmiertelników,“ od którego spuszczała się szarfa z napisem: „Mommsenowi — obrońcy niekażdej szlachetnej i pięknej sprawy.“

Pod arkadami Sewerynowa chodził wolno blady p. K. Bartoszewicz i uczył się z jakiegoś podręcznika spisu instytucyi warszawskich, ażeby w swych fejletonach nie dopominać się o utworzenie tych, które już dawno istnieją.

Przed sklep spożywczy zajechał wóz, na którym leżały zające i bażanty. Skąd to? — spytał ktoś. — Z polowania w Grodźcu u państwa Kwileckich — odrzekł furman. Przyskoczył nadreporter i krzyknął: Hugonowska antyteza!.

W sąsiednim sklepie kolonialnym zainteresowały mnie szczególne wagi: kilka kawałków cukru, położonych na jednej szalce, przechylało drugą z funtem. Kupiec, pochylony nad *Kuryerem Warszawskim*, wyprostował się i rzekł do swego syna: „Ładny interes zrobił ten Jan Petras! Ponieważ sumienie go ruszyło i zaczął z Ameryki odsyłać swemu dawnemu panu drobną sumkę pieniędzy, którą mu ukradł, jako lokaj, to go z imienia i nazwiska ogłosili w *Kuryerze*. Pięknie ubrali obywatela Stanów Zjednoczonych.

Na ulicy Zgoda z otwartego okna redakcyi *Gońca* wyleciał rozkaz wydawcy: „Przez kilka dni pod nazwą węglarni współdzielczej nie dawać podpisów. Niech czcionki prezesa Szukiewicza i sekretarza Kosobudzkiego trochę odpoczną, bo są djabelnie zmęczone. Wiadomość o dr. Estreicherze, który niczego się nie dowiedział od zmarłej akuszerki Cwelowej o połogu Kwileckiej, dać do bieżącego numeru.“

Roznosiciele wybiegli z bramy, p .Suligowski kupił od nich jeden numer tego dziennika i postępując wolno, czytał: „Zmarły, jako prezes Towarzystwa Dobroczynności, pragnął zdziałać jak najwięcej dobrego.“ Zwinął papier i schował do kieszeni. Ukłonił mu się jakiś chudawy, mizerny, widocznie strapiony jegomość, który miał wyrytą na twarzy myśl: „Za co adwokat Więckowski pobierać będzie od Towarzystwa racyonalnego polowania 2,400 rb. pensyi i 4,800 rb. odszkodowania na wypadek zwinięcia posady?“

Zbliżała się północ — miasto zasypiało. Nad siedzibą Towarzystwa Muzycznego, w której napychano do worków wiatry ostatniej burzy, zabrzmiał pod niebem cichy, śpiewny i łzawy głos, niby skarga ducha: „Hösick pojechał do Paryża zbierać szczegóły mojego życia...

Litości, kochani rodacy, ratujcie mnie!“

(C. d. n.).

G. B. W. P. D.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 13 Ноября 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.